

- Wojski byłby dumny
- Las Bez Barrier
- Pola z Lipna
- Skok
- Patroni Roku

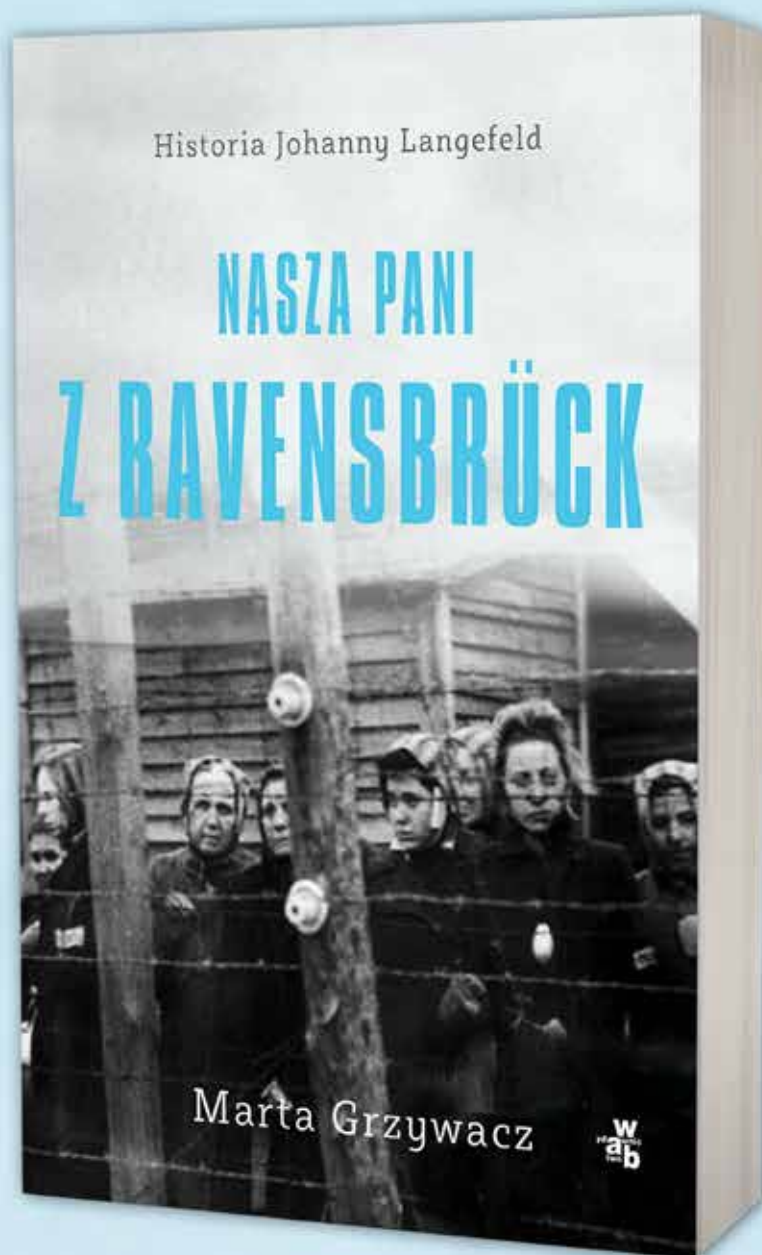


MARTA GRZYWACZ

Górnośląska
Nagroda Literacka
„Juliusz”
za najlepszą biografię
2020 roku



Porozumienie Wydawców
Książki Historycznej
Nagroda KLIO
I-go stopnia
w kategorii autorskiej
za „wybitny wkład
w popularyzację historii”



**SPOTKANIE
AUTORSKIE**

12/12/2021
godz. **15.00**



BIBLIOTEKA POLSKA

Keizersgracht 174, 1016 DW Amsterdam
tel. 020-6276868, www.bibliotekapolska.nl



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Nasze pismo ukazywało się zawsze cztery razy w roku i związane było z wydarzeniami w Scenie Polskiej w Holandii. Na okładkach pojawiały się zdjęcia występujących w Holandii aktorów i plakaty polskich festiwali filmowych. Okładki naszego pisma są jakby kroniką tych wydarzeń. Od 2020 roku, gdy zamknięto sale teatralne i kina, gdy pandemia nie pozwala planować przyjazdu artystów i spotykać się w większym gronie, jest inaczej. Na okładkach pokazujemy bliskie nam piękne miejsca i przestrzenie, które na nowo jakby poznajemy. I prosba, nie rozchodźcie się. Jeszcze wrócą czasy, gdy będziemy spotykać się w teatrze i w kinie, aby razem przeżywać wzruszenia teatralno-filmowe.

W tym numerze jest sporo o filmach i festiwalach filmowych. Wraz z naszymi autorami Konradem Zarębskim, Aliną Kietrys i Jackiem Kałuckim przenosimy się do kin i do teatru. Zaglądamy nawet na chwilę na festiwal filmowy do Chicago. Plakat na tylnej okładce zaprasza młodych widzów na festiwal „Ale Kino” do Poznania i online.

Dalej wiele mówiący artykuł Marka Orzechowskiego, wspomnienia Eugeniusza Brzezińskiego ze chrztu na morzu, jak zwykle in-

teresujące refleksje o czytelnictwie Grażyny Gramzy, trochę dobrego humoru Jerzego Skoczylasa, proza z dalekiej Australii, tym razem Alek Silber wspomina dzieciństwo w Polsce. Jest też sporo wieści z polskiego Lasu Bez Barrier. Piękne są barwy kończącej się jesieni w lesie. Ale warto też posłuchać „Brzmienia Lasu”.

Mamy nadzieję, że Czytelnicy znajdą interesujące ich tematy, bo są one na tyle różnorodne, że może je czytać każdy, będąc w różnych punktach świata. A przez wydanie internetowe, pismo Scena Polska dociera wszędzie tam, gdzie Państwo jesteście.

Chociaż w sklepach roi się od ozdób i upominków gwiazdkowych, to w Holandii czekamy jeszcze na odwiedzin Sinterklaasa. W tym roku nie w domach, ale na ekranach telewizora, w internecie i na innych technicznych nośnikach. Ale upominki na pewno w każdym domu się znajdują.

Redakcja przygotowuje też świąteczne wydanie Sceny Polskiej. Kto chciałby otrzymywać nasze pismo drogą mailową proszony jest o przysłanie adresu do redakcji: poolspodium@gmail.com. Może są też wśród Czytelników utalentowani, odważni autorzy? Zapraszamy do nadsyłania tekstów. ■



Spis treści

KONRAD ZARĘBSKI
Pola z Lipna..... str. 4

ALINA KIETRYS
46 Festiwal Polskich Filmów Fabularnych Gdynia 2021 – „Wszystkie nasze strachy” ze Żłotymi Lwami..... str. 6

JACEK KAŁUCKI
Najciekawsze są kulisy – spotkanie z mistrzem..... str. 8

JERZY SKOCZYLAS
Artyści drugiego planu..... str.10

**DANUTA ŁAWNICZAK,
MICHAŁ STODOLNY**
Jesień z poezją..... str. 10

MAREK ORZECZOWSKI
Skok..... str. 11

ANNA FRANÇOIS-KOS
Żegnaj Joasiu..... str. 12

BARBARA OLSZEWSKA-SAMLER
Pamięć zapisana w sercu
Żegnamy Julisza Dziakiewicza..... str. 13

WOJCIECH ZIELIŃSKI
Przyjaciół poznaje się w lesie..... str. 14

MIREK KOZŁOWSKI
Wojski byłby dumny..... str. 16

33. Festiwal Filmu Polskiego w Ameryce
Chicago 6 – 23 listopada 2021..... str. 18

EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI
Chrzest równikowy..... str. 18

ALEK SILBER
Kolonie
(z cyklu covidowe baniałuki)..... str. 20

GRAŻYNA GRAMZA
Marianna Orańska otrzymuje
pocztówkę z Mokum, że Bóg żyje
w Holandii i o tym się gada..... str. 22

MONIKA STĘPIEŃ
Samen.pl ciąg dalszy..... str. 23

GRAŻYNA GRAMZA
Patroni Roku..... str. 25

MAGDALENA PIGNARD-BYKOWSKA
Listopadowe wspomnienia i refleksje
– Nekropolie we Francji..... str. 26

SCENA POLSKA | Nr 3(107)/2021 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: Zespół „Palatium”

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Pola z Lipna



KONRAD J. ZARĘBSKI

Na trasie Warszawa-Toruń, 50 km od grodu Kopernika, po prawej stronie Wisły leży Lipno. Miasteczko niewielkie, choć powiatowe, oddalone o 25 km od leżącego po drugiej stronie Wisły Włocławka. I, co najważniejsze, ze szczęściem do ludzi. W Lipnie chodzili do szkoły Lech Wałęsa i Leszek Balcerowicz, tu zresztą urodzony, z Lipna pochodzi prof. Stanisław Ossowski, wybitny socjolog, kilkoro działaczy żydowskich, paru aktorów, w tym sławny Wincenty Rapacki, czołowa postać polskiej sceny przełomu XIX/XX wieku. No i ona, bodaj najsławniejsza lipnowianka: Pola Negri.

Naprawdę nazywała się Apolonia Chalupiec (Chałupiec), po ojcu była Słowaczką (stąd podwójny zapis nazwiska, jej stryjeczny wnuk, finansista Igor Chalupiec, używa słowackiego brzmienia radowego nazwiska). Jej biografia pełna jest tajemnic, po części wynikających z nieco wstydliwych epizodów rodzinnych, po części zaś będących wynikiem jej własnych starań – wszak nie bez przyczyny uważa się ją za mistrzynię PR, wręcz osobę, która korzystała z PR jako pierwsza w branży.

Do końca więc nie wiadomo, za co władze carskie aresztowały ojca małej Poli i zesłały na Sybir, nie wiadomo też, czy rzeczywiście był bohaterem wojny polsko-bolszewickiej. Wiadomo tylko, że żona wraz z córką opuściły Lipno i przenieśli się do Warszawy, gdzie Pola aplikowała do szkoły teatralnej. Mając 15 lat zadebiutowała na scenie jako Klara w „Ślubach panieńskich” Fredry – jako protegowana Kazimierza Hulewicza, wiceprezesa Warszawskich Teatrów Rządowych. Kolejna tajemnica: Hulewicz pojawi się na kartach autobiografii kilkanaście lat później, we Francji, jako przyjaciel matki aktorki. Obiecująca kariera teatralna zostaje jednak przerwana: u młodziutkiej aktorki wykryto gruźlicę i wysłano na leczenie do Zakopanego. Tam Pola zaczytuje się po-



Pola Negri

fol. Edward Steichen (1925)

ezją Ady Negri i postanawia przyjąć jej nazwisko jako swój pseudonim. Po powrocie do Warszawy próbuje sił na ekranie i to ze znakomitą rezultatem: po kilku tytułach zostaje gwiazdą.

I to gwiazdą najprawdziwszą. Od warszawskiego studia Sfinks kontrakt wykupuje berlińska UFA i Pola w śródku wojny, w 1917 roku, jedzie do Berlina. Tam trafia pod reżyserską opiekę Maxa Reinhardta i jego ucznia, syna krawca i kabareciarza Ernsta Lubitscha. I znowu wystarczy kilka filmów, by uczynić z niej gwiazdę – „Oczy mumii Ma”, „Carmen”, „Madame du Barry” Lubitscha i z Emilem Janningsem (tak, z tym Janningsem, pierwszym laureatem Oscara!) jako jej partnerem – cieszyły się wielką popularnością w Niemczech. Więc, Pola Negri sprawiła, że niemieckie kino przełamało barierę izolacji po wojnie światowej i przedostało się do Europy i USA. Ale Poli przy tym już nie było. Przekraczając granicę polsko-niemiecką w Sosnowcu, podbiła serce komendanta miejscowego posterunku Straży Granicznej. Być może nie była zbyt wysoka ran-

ga, ale porucznik Dąbski był przecież hrabią, tym samym więc spełniał się sen Kopciuszka.

Małżeństwo nie przetrwało zbyt długo, zwłaszcza że ustawowo zakazano w Polsce używania tytułów arystokratycznych. Pola wróciła więc do Berlina. W samą porę, by spotkać Charliego Chaplina, odbywającego triumfalną podróż po Europie. Kiedy Chaplin wrócił do Nowego Jorku, na pytanie prasy, co widział ciekawego, odpowiedział jednym tchem: „Polę Negri!”. To było równoznaczne z zaproszeniem do Hollywood, zwłaszcza że amerykańscy ojcowie ponoć prowadzili swoich synów do kina na Negri, by przestrzec ich przed kobietą występą. Zanim jednak zaproszenie nadeszło, Pola wyjechała do Paryża. Po spotkaniu z wielką Sarą Bernhardt oświadczyła prasie, że sędziwa diva widzi w niej swoją następczynię. Być może wystarczyłoby to na Europę, gdzie autorytet Bernhardt jeszcze coś znaczył, ale na Amerykę już nie. Trzeba było wymyśleć coś innego.

Pola Negri przybywała do Stanów w glorii „hrabiny z brudną szycją”, ale

w Paramountie, gdzie trafiła, tę szyję dała sobie wymyć do czysta. Początki nie były obiecujące, widownia czekała na inną Negri. Pola znalazła na to sposób: królową Paramountu była wówczas Gloria Swanson, więc Negri wypowiedziała jej wojnę. Spór zrobił się publiczny, ale Pola nie miała dość argumentów na swoją przewagę. Zdradziła więc „tajemnicę” i wyjawiała romans z Chaplinem, czemu oczywiście Mały Tramp zaprzeczył.

Na szczęście do Hollywood ściągnięto Lubitscha, by nakręcił film z Mary Pickford. Zamiana archetypicznej „dziewczyny z sąsiedztwa” na wampa nie mogła się udać, ale reżyser został w Hollywood. Ponowna współpraca ze swoim Pigmalionem pchnęła karierę Negri na nowe tory. „Cesarzowa” Lubitscha, a potem „Kobieta bezwstydną”, „Drut kolczasty” czy „Hotel Imperial” Mauritz Stillera, odkrywcy Greta Garbo, były wielkimi przebojami. Do tego jeszcze Gloria Swanson dała się wciągnąć w grę. Gwiazdy docinały sobie publicznie, robiły sobie wzajemnie głupie kawały, chwaliły się kochankami. Pola Negri przekonała świat, że była narzeczoną Rudolpha Valentino, czego on nie mógł potwierdzić, bo właśnie umarł.

W dobie kina dźwiękowego dla obu aktorek zaczęły się kłopoty. Swanson grała sporadycznie, Negri po niepowodzeniu „Na rozkaz kobiety” uciekła do Europy. Kiedy Swanson poślubiła markiza, Pola wyszła za księcia. Tyle że Serge Mdivani miał tylko tytuł, prezencję i szeroki gest, a do tego nie znosił, kiedy mówiono o nim „pan Negri”. Pieniądze zgromadzone przez aktorkę gdzieś się rozpląnęły, paryska rezydencja zaczęła tonąć w długach, księżę się rozpląnął. Zaproszenia z Hollywood nie było, ale przyszła oferta z Berlina.

Historia zatoczyła koło. Pola znów zaczęła królować w studiach UFA, teraz już państwowych i zarządzanych przez Ministerstwo Propagandy, a jej filmy przerwały kulturalną izolację hitlerowskich Niemiec. Ale wokół Poli zaczęło się robić gorąco. Najpierw była afera o stary film „Żółty paszport” – grana przez Negri bohaterka dostała żółty dokument, bo była zmuszona do nierządu, Goebbels zaś twierdził, że żółte dokumenty mieli tylko Żydzi. Potem ktoś rozpuścił plotkę, że Negri jest kochanką Hitlera. Naciski, by zagrała w filmie o przesłaniu ideologicznym, były coraz mocniejsze, wreszcie zrozumiała, że musi opuścić Niemcy. Wyjechała do Francji, a gdy wojna dotarła i tam, uciekła do Ameryki.

W ciągu następnych 45 lat zagrała raptem w dwóch filmach. Przetrwała w Stanach dzięki swej przyjaciółce, dziennikarce radiowej Margaret „Margo” West. Kiedy



Joanna Kulig pod tablicą pamiątkową dla uczczenia 100 rocznicy wyjazdu Poli z Lipna
Fot. LPK

West przeszła na emeryturę, zamieszkała w Teksasie, w San Antonio. Po raz ostatni Pola Negri odwiedziła Hollywood na początku lat 60.: rola w filmie „Księżycowe prządk” (1964) miała jej przynieść nominację do Oscara (jak Glorii Swanson za rolę w „Bulwarze Zachodzącego Słońca”). Nie przyniosła. Kiedy Jerzy Hoffman ubiegał się o Oscara za „Potop”, wspierający go Bronisław Kaper próbował zorganizować galę, podczas której Negri miała pełnić honory pani domu. Nie przyjechała. Nie powiodły się też – również z jej woli – plany przyjazdu do Polski.

Ale po latach Pola Negri wróciła do Lipna. Kilkanaście lat temu w ramach programu budowy społeczeństwa obywatelskiego, kilkoro nauczycieli z miejscowej podstawówki doprowadziło do wmurowania tablicy pamiątkowej na stulecie wyjazdu Poli do Warszawy i w wielki świat. Udało się zdobyć wsparcie Wiesławy Czaplińskiej, autorki dwóch monografi o Poli Negri, i znanego krytyka muzycznego Bogusława Kaczyńskiego. Oboje przyjechali na odsłonięcie tablicy. Na pożegnanie pani Wiesia rzuciła pomysł, by Lipno zorganizowało jakiś festiwal filmowy wokół Poli Negri.

I taki festiwal powstał, nazywa się „Pola Negri i inni”. Co roku mieszkańcy Lipna spotykają się w miejscowym kinie „Nawojka” (ponoć legendarna pierwsza studentka Akademii Krakowskiej pochodzi z tej ziemi), by wspominać Polę Negri (Izba Pamięci z ciekawymi pamiątkami i autentycznymi dokumentami znajduje się nad salą projekcyjną) i obejrzeć filmy z jej udziałem. Ale główny program koncentruje się na współczesnych polskich aktorach, którym udało się zrobić karierę za granicą. Wbrew pozorom lista laureatów „Politki” (tak nazywa się statuetka, inspirowana filmem „Hiszpańska tancerka”) jest dosyć obszerna: znajdują się na niej takie tuzy jak Olgierd Łukaszewicz, Andrzej Seweryn, Daniel Olbrychski czy Jan Nowicki, ale też wielu aktorów młodszego pokolenia czy wręcz młodzieży – jak Karolina Gruszka (pierwsza laureatka), Agata Buzek, Michalina Olszańska, Marcin Dorociński, Piotr Głowacki czy Joanna Kulig.

A po spotkaniu z publicznością każdy z laureatów idzie nad rzeczkę Mień, gdzie na Bulwarze Poli Negri odsłania swoją tabliczkę w miejscowej Alei Sławy. ■



Marcin Dorociński na Bulwarze Poli Negri w Lipnie

Fot. LPK

46 Festiwal Polskich Filmów Fabularnych Gdynia 2021

„Wszystkie nasze strachy” ze Złotymi Lwami



ALINA KIETRYS

Czerwony dywan, na zakończenie festiwalu, był w tym roku specjalnie eksponowany. Zorganizowano bezpośrednią, dwugodzinną transmisję w mediach społecznościowych ze znanymi artystami. A przyjechali ci, którzy uważali, że powinni się pokazać. Pojawiły się też wszystkie ekipy filmów prezentowanych w Konkursie Głównym. Aktorzy wielu filmów oglądali w trakcie festiwalu, produkcje kolegów, co wcale w tym środowisku nie jest takie częste. Przyjechali znani: Sonia Bohasiewicz, Weronika Książkiewicz, Małgorzata Foremniak, Dorota Stalińska, Sławomira Łozińska Maciej Stuhr, Jan Frycz, Piotr Głowacki, Jacek Braciak, Adam Woronowicz, Dawid Ogrodnik, Robert Więckiewicz, Jacek Pioniedziałek, Sebastian Fabiański. Pojawił się też młodzi zdolni, których nazwiska warto zapamiętać: Tomasz Ziętek, Adrianna Chlebnicka, Jacek Beler, Michał Sikorski.

W trzech różnych konkursach pokazano łącznie 41 filmów. W Konkursie Głównym o Złote Lwy ubiegało się 16 filmów wybranych z 40 zgłoszonych do konkursu, które oceniało jury z przewodniczącym Andrzejem Barańskim – klasykiem polskiego kina, ubiegłorocznym laureatem Platynowych Lwów za całokształt twórczości, reżyserem min. „Kobiety samotnej”, „Ucieczki z kina Wolność”.

Platynowe Lwy wręczono Agnieszce Holland, której twórczość festiwal polskiego kina od lat przyjmuje z uznaniem. Uznana reżyserka powiedziała odbierając nagrodę: „Robiłam filmy, które mówiły o czasie pogardy i nienawiści, mówiły o reżimach dzielących ludzi na lepszych i gorszych, na tych którym przysługują przywileje i na tych, którzy są podludźmi i są skazani na śmierć

i cierpienie. Moje filmy mówiły o politykach, którzy grają strachem i manipulują opinią publiczną, żeby utrzymać władzę, mówiły o politykach, którzy są oportunistyczni, o skorumpowanych mediach, o obojętności społecznej.(...) Miałam świadomość robiąc te filmy, że ten czas on się nie skończył tylko zasnął i może powrócić w każdej chwili, jeśli nie będziemy dostatecznie uważni.” To bardzo ważne słowa, które spotkały się z autentycznym aplauzem uczestników festiwalowej gali w Teatrze Muzycznym w Gdyni i stanowiły bardzo ważny komentarz do prezentowanych na 46 festiwalu filmów. A poziom tegorocznego festiwalu był dobry, bo mogę Państwu zarekomendować z czystym sumieniem co najmniej trzynaście filmów z Konkursu Głównego wartych obejrzenia.

W polskim kinie nastąpiła pokoleniowa zmiana warty. I to wyraźnie potwierdził tegoroczny festiwal. Najwięcej było debiutów i filmów reżyserów, którzy prezentowali swój drugi film. Mistrzowskie kino twórców starszego pokolenia prezentowano na specjalnych, wyodrębnionych pokazach festiwalowych.

Złote Lwy w pełni zasłużenie przyznano bardzo ważnemu i odważnemu filmowi Łukasza Ronduda i Łukasza Gutta „Wszystkie



nasze strachy” z niebywale misternie pomyslaną główną rolą Dawida Ogrodnika. Film wykorzystuje autobiograficzne wątki z życia artysty, grafika, performerera, wykładowcy akademickiego Daniela Rycharskiego, „wyautowanego z polskiej wsi geja” – jak pisano, który w swej twórczości zajmuje się sprawami religii. Rycharski znany jest ze słynnego projektu „Krzyż”. Filmowy Daniel wie, że pozornie spokojne i akceptowane życie na wsi. Zakochuje się jednak w Olku – chłopaku z sąsiedztwa, który nie jest gotowy, by ujawnić swoją seksualną tożsamość. Ich koleżanka lesbijka, nie wytrzymuje presji otoczenia i popełnia samobójstwo. O tę śmierć wie oskarża Daniela, który namawia ludzi do wspólnej drogi krzyżowej w intencji zmarłej dziewczyny.

– Film jest odważny, poruszający i na czasie – mówili widzowie. I jest obrazem odnoszącym się do tego, co dzieje się „tu i teraz”. Nagroda Złote Lwy dla filmu Ronduda i Gutta została przyjęta z aprobatą festiwalowej widowni.

Dużym zainteresowaniem widzów cieszył się polski kandydat do Oscara – film o zabójstwie Grzegorza Przemyka w 1983 roku pt. „Żeby nie było śladów” w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego ze świetną rolą Tomasza Ziętka. To był film typowany do Złotych Lwów, bowiem pokazuje bardzo wnikliwie mechanizmy działania władzy, która potrafi cały aparat przemocy uruchomić przeciwko kilku „niewygodnym” osobom. Scenariusz Kai Krawczyk-Wnuk powstał na podstawie świetnego reportażu Cezarego Łazarewicza. W rezultacie film ten zdobył Srebrne Lwy. Ważny film, ale czy znajdzie uznanie w Oskarowej konkurencji – szczerze wątpię. Wśród pretendentów do najwyższych nagród znalazł się też „Hiacynt” – to był mój faworyt. Film Piotra Domalewskiego, w którego obsadzie jest również Tomasz Ziętek. Ten film nawiązuje do słynnej akcji polskiej służby bezpieczeństwa w latach 80. kiedy to „katalogowano” w Polsce homoseksualistów. Wydarzenia historyczne posłużyły reżyserowi do opowiedzenia historii o młodym milicjancie z zasadami, który wpadł na trop seryjnego mordercy gejów, a potem sam się uwikłał. Film „Hiacynt” zdecydowanie warto obejrzyć. Na gdynskim festiwalu

jury nagrodziło Marcina Cistonia za scenariusz do tego filmu.

Do filmów widocznych na tym festiwalu warto zaliczyć kino oparte o autentyczne wydarzenia społeczne. I tutaj dwa filmy: „Sonata” Bartosza Blaschke opowiadająca o losach niesłyszącego Grzegorza Płonki z Murzasichle, który mimo ograniczeń skończył szkołę muzyczną i wygrał konkurs pianistyczny. „Sonata” zelektryzowała publiczność i została przez publiczność wybrana jako najlepszy film, a nagrodę za debiut otrzymał Michał Sikorski, który był odtwórcą głównej roli. W tym filmie świetna była też Małgorzata Foremniak, to najlepsza rola tej aktorki w ciągu ostatnich kilku lat. I drugi ważny film w społecznym nurcie to autobiograficzna opowieść Konrada Aksinowicza „Powrót do tamtych lat” o ojcu alkoholiku i tragedii rodzinnej widzianej oczyma dorastającego nastolatka, którego zagrał Teodor Kozia. W tym filmie świetny Maciej Stuhr jako ojciec alkoholik, mitoman, który zadreżca siebie i rodzinę. Nie zauważenie tego filmu przez jurorów uważam za „nie-dopatrznie artystyczne”. Na spotkaniach z publicznością po filmie dochodziło do dramatycznych i niesłychanie szczerych wyznań i łez widzów. „Powrót do tamtych lat” wyzwolił prawdziwe emocje.

Poruszające i bardzo ważne na 46 festiwalu były filmy o aktualnych czasach i wydarzeniach. „Inni ludzie” – rapowany musical według powieści Doroty Masłowskiej pod tym samym tytułem, to film z doskonałymi pomysłami muzycznymi Marka Aureliusza Teodoruka czyli AURO, o przerażającej pustce blokowiska i rodzinnego domu, o braku miłości, o niedostosowaniu do świata pozornie uporządkowanego. Główna rola Jacka Belera na pewno warta jest zapamię-

tania, ale jednak przyznanie mu nagrody za pierwszoplanową rolę męską było zaskoczeniem. Nagrodzony został bardzo słusznie montaż tego filmu – prawdziwe dzieło Magdaleny Chowańskiej. Również ważnym filmem jest „Lokatorka” w reżyserii Michała Orłowskiego. To opowieść o głośnym procederze – bezwzględnej prywatyzacji kamienic w Warszawie i o tajemniczej śmierci Janiny Markowskiej. Film oparty na wydarzeniach z lat 80. Za rolę w tym filmie nagrodę dostała Sławomira Łozińska. Bardzo cieszę powrót tej świetnej aktorki teatralnej na duży ekran. Także „Moje wspaniałe życie” ze świetną Agatą Buzek w roli głównej jest warte zauważenia i obejrzenia. Nagrodę za reżyserię tego filmu otrzymał Łukasz Grzegorzek. Historia nauczycielki, która prowadzi podwójne życie, bo nie umie i nie chce podporządkować się narzuconym rygorom, porusza. Jej kobiety bunt burzy harmonię rodzinną, ale też pokazuje determinację i siłę w walce o zawodową godność.

W kanonie historycznym mieściły się dwa filmy, ale tylko na jeden zwracam Państwa uwagę – na historię żydowskiego działacza politycznego Zygielbojma, który w Londynie w 1943 roku w proteście na obojętność świata wobec holokaustu popełnił samobójstwo. W tym filmie bardzo ciekawą kreację stworzył Wojciech Meczaldowski, któremu partneruje piękna Karolina Gruszka.

Filmów rozrywkowych na tym festiwalu nie było zbyt wielu. „Bo we mnie jest seks” Katarzyny Klimkiewicz jest opowieścią o kilku latach z życia Kaliny Jędrusik i o klimatach Warszawy lat 60. Film z zabawnymi i pikantnymi szczegółami biograficznymi, w roli Kaliny Jędrusik urodziwa i nieźle śpiewająca Maria Dębska. To ona została laureatką nagrody za pierwszoplanową rolę kobiecą. Natomiast bardzo rozrywkowy i naprawdę dobrze zrealizowany,

słusznie porównywany do głośnego ongiś filmu „Vabank”, film „Najmro” nie dostał, nie wiedzieć czemu, żadnej nagrody. Opowieść o wielkim oszucie PRL Zbigniewie Najmgrodzkiem, który obrabiał Pewexy, kradł samochody i 29 razy uciekał milicji nie przypadła do gustu jurorom. A szkoda, bo dobre kino rozrywkowe warto zauważać, szczególnie ze świetną i zabawną rolą Dawida Ogrodnika. Reżyser Mateusz Rakowicz stworzył film, który się dobrze ogląda. Polecam. Gorzej tym razem, moim zdaniem, wypadł film Kingi Dębskiej „Zupa nic” – też opowieść o czasach PRL-u, absurdalnych sytuacjach i tęsknotach za domowym ciepłem i spokojem. Nagrodzony również został za drugoplanową rolę męską dla Andrzeja Kłaka i za muzykę dla Teoniki Rożynek „Prime Time” – film z obwołanym niczym objawieniem Bartoszem Bieleniem, aktorem, który zawładnął wyobraźnią widzów w „Bozym cieł”. Film „Prime Time” od kilkunastu miesięcy dostępny był już na Netflixie.

W Konkursie Głównym pojawił się też film artystyczny, wysublimowany który raczej nie będzie miał szerokiej widowni, ale od strony formalnej jest ciekawym eksperymentem. Reżyser tego filmu Filip Jan Rymasz, od lat mieszka w Stanach Zjednoczonych i w Gdyni zdobył Złoty Pazur w Kategorii „Inne Spojrzenie”. Film „Mosquito State” ma wiele wspólnego z artystyczną konwencją filmów Lecha Majewskiego, reżysera kina wysmakowanego i bardzo subtelnego. W filmie Rymasz oglądamy przypowieść o osaczeniu przez obsesję bogatym człowiekiem, który znalazł się w matni – w świecie atakowanym przez rozmnażające się w szalonym tempie komary.

W konkursie filmów krótkometrażowych były same hity. Naprawdę mamy świetne dokumenty, warto je oglądać, spis tytułów dostępny w Internecie na stronie festiwalu. W filmach mikrobudżetowych były też niespodzianki. Dobrze oceniony i nagrodzony został film „Piosenka o miłości” w reżyserii Tomasza Habowskiego, a ja polecam film „Po miłość” reżysera z Trójmiasta, Andrzeja Mańkowskiego.

Na 46 Festiwal Polskich Filmów Fabularnych zjechało do Gdyni ponad 700 przedstawicieli branży filmowej, akredytowało się ponad 250 dziennikarzy polskich i zagranicznych i ponad 300 obserwatorów i gości festiwalu z Polski i ze świata min. z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czech, Węgier, Holandii, Szwecji, Finlandii i Litwy. I choć są to liczby znaczące, gdyński festiwal odczuwał skutki pandemii, było mniej kolorowo, mniej hucznie, bez wielkich bankietów i spotkań w nocnych klubach, bez blichtru i taniego snobizmu, który zazwyczaj towarzyszy polskim festiwalom. ■



Najciekawsze są kulisy – spotkanie z mistrzem



JACEK KAŁUCKI

Ponieważ ostatnio w „moim kulisowym kąciku” było co nieco o teatrze, dzisiaj w tym kontekście wspomnę o... oficjalnym debiucie filmowym. Na swojej drodze artystycznej miałem zaszczyt, przyjemność i szczęście poznać wielu wybitnych twórców, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w kulturze nie tylko polskiej, ale i światowej. Tak się jednak składało, że zawsze towarzyszyły temu jakieś dziwne zdarzenia, które wspominam raz z uśmiechem, innym razem z sentymentem a czasami skacze mi ciśnienie na samą myśl – jak to w ogóle było możliwe?!

Byłem na IV roku warszawskiej PWST. W końcu zagraliśmy ostatnie dyplomowe przedstawienie muzyczne – uff!!! Było ono ponoć najdłużej prezentowanym dyplomem w historii Szkoły. Wkurzało nas to trochę, wszak nie kończyliśmy wydziału estradowego, tylko... wydział dramatu! Wy-

reżyserowany przez Wojciecha Pokorę i Andrzeja Szczepkowskiego muzyczny spektakl „Na początku były Słówka”, bił rekordy popularności. Były to piosenki z „Zielonego Balonika” oraz w drugiej części, hity współczesnych kabaretów literackich.

W końcu nadeszła ta... wiekopomna chwila i zaczęliśmy pracę nad dyplomem z dramatu! Próbowaliśmy z Piotrem Cieślakiem i Tomaszem Grochoczyńskim „Księżniczkę Magdalenę” Stasia Witkiewicza – jak Witkacy to napisał, miał zaledwie 8 lat. Była to kompilacja „Juweniliów” zrobiona przez Cieślaka. Przedstawienie to na Międzynarodowym Festiwalu Szkół Teatralnych w Bratysławie, zgarnęło wszystkie pierwsze nagrody: za reżyserię, za spektakl i zbiorową aktorską!

W pewnym momencie, w trakcie próby „Księżniczki...”, drzwi się otworzyły i weszła Krystyna Grochowicz. Wiedzieliśmy, że jest etatowym II reżyserem Andrzeja Wajdy. Przepraszyła że przerwała pracę, ale miała do zakomunikowania bardzo ważną i pilną wiadomość:

– W porozumieniu z dziekanem Łapickim, pan Andrzej Wajda (!) pragnie zaprosić do współpracy kilku studentów IV roku. Zaczyna realizację swojego najnowszego filmu pt. „Bez znieczulenia”. Pozwolę sobie teraz odczytać te nazwiska...

Kiedy padło moje, serce mi stanęło! Oczami wyobraźni, widziałem siebie w głównej roli najnowszego dzieła mistrza Andrzeja.

Każdy student Szkoły Teatralnej jest przekonany (i tak być powinno) że właściwie prawdziwy teatr i wielki film, zacznie się od niego! To właśnie on będzie tym kołem napędowym, wszystkich największych wydarzeń artystycznych. Rozmawiałem z wieloma koleżankami i kolegami. W większości, tak właśnie to widzieli oczami wyobraźni. Inni... podobnie, tylko po cichu. Dokładnie tak samo dzielą się moje ukochane jamniki. Na te, co śpią ze swoimi właścicielami i na tych właścicieli, co się do tego nie przyznają.

Widząc że zrobiła nam kociokwik w móżgach, Grochowicz konkludowała:

– W związku z powyższym, bardzo proszę w imieniu pana Andrzeja o przybycie dzisiaj, o godzinie 17.00 do Wytworni Filmów Dokumentalnych na ulicę Chełmską 21. Oczywiście wszyscy wycytani przeze mnie studenci, są zwolnieni z dzisiejszych popołudniowych zajęć. Wszystko jest za zgodą dziekana Łapickiego. Przepraszam i do zobaczenia.

Wyszła. Nie muszę mówić, że z dalszej próby tego dnia były nici. Piotr Cieślak to zauważył i puścił nas do domu. Znał doskonale ten stan ducha, gdyż niespełna przed dwoma laty dostał od Wajdy propozycję zagrania w „Człowieku z marmuru” roli Michałaka, ubeka inwigilującego głównego bohatera – Birkuta. Godziny do 17-tej dłużyły się nieprawdopodobnie. Jeden przed drugim zgrywał bohatera, tylko dziwnie... wszystkim się trzęsły portki.

Każdy z nas miał już jakąś przygodę z filmem. Oczywiście były to w większości nieoficjalne chałturki. Nawet na takie drobne zadania, potrzebna była zgoda dziekana. „Łapa” przymykał często oko bo wiedział, że budżet studencki jest niewielki i zawsze te parę groszy się przyda. Pamiętam jak prawie wszyscy koledzy ze Szkoły, mieli krótko przystrzyżone włosy. Nie było to za sprawą ówczesnej mody, tylko Kuba Morgenstern kręcił serial „Polskie drogi”. Rzecz działa się podczas II wojny światowej. Takie fryzury w tamtych czasach noszono. Każdy kto miał trochę wolnego czasu, albo „nagle zachorował”, parę dni zdjęciowych zawsze załapał. Trzeba było tylko przestrzegać dwóch zasad: 1. Nie pchać się nachalnie przed kamerę. 2. „Nie dać się zabić!” Wtedy była szansa zaliczenia większej ilości dni zdjęciowych. Gaża była właśnie od tego uzależniona.

Przypominam sobie udział w „Śmierci prezydenta” Jerzego Kawalerowicza. To także był



Na zdjęciu: „Na początku były słówka” od lewej: Maciek Maciejewski, Ania Skowroń, Tomek Stockinger, Ewa Błaszczuk, Olek Kalinowski, Hanka Bieniuszewicz, Andrzej Grabarczyk, Magda Wołtejkę, Waldek Kapitułka, Beata Lewandowska, Krzysiek Bauman, Danka Kowalska, Michał Kula, Jola Grusznic, ja i Monika Goździk.

film wiele-obsadowy i zawsze ktoś jakąś rolę podłapał. Kręciliśmy na Placu Trzech Krzyży olbrzymią scenę! Manifestacja PPS i zabójstwo robotnika Wincentego Kałuszeńskiego. Wojtek Wójcik – u którego już jako aktor grałem w „Sforze” a wtedy był II reżyserem u Kawalerowicza, wyznaczył kolegów którzy po strzałach mieli „paść trupem”. Dziesiątki aktorów. Setki statystów. Ruch wstrzymany chyba na pół Warszawy. Kawalerowicz na wysięgniku nad Placem, krzyczy przez megafon:

– Akcja!

– Tłum rusza. Strzały się rozlegają a... nikt nie pada – „zasada nr 2.”

– Stop!! Wojtek do cholery! Gdzie ci zabici?! Wszyscy z powrotem na miejsca! Potwarzamy! Dubel!!!

Punktualnie o 17.00 zameldowałem się wraz z kolegami pod drzwiami produkcji filmu „Bez znieczulenia”. Krystyna Grochowicz zaprosiła nas do pokoju. Po chwili wszedł Wajda ze Zbigniewem Zapasiewiczem. Właśnie jemu reżyser powierzył główną rolę. Przywitali się z nami – z każdym z osobna, po czym pan Andrzej opowiedział, o czym jest jego najnowsze dzieło.

– Kochani. Gracie grupę studentów. Jesteście zaniepokojeni absencją waszego ulubionego profesora Jerzego Michałowskiego, którego grać będzie obecny tu pan Zbigniew. Jutro kręcimy zdjęcia przed jego domem, a później „bankiet” w mieszkaniu. Są to kluczowe sceny filmu. Zaczynamy o dziewiątej rano. Ściskam was i widzimy się nazajutrz. Do zobaczenia!

Jak później się zorientowałem, wszystkie sceny u Wajdy były... kluczowe. Po takim spotkaniu trzeba było odreagować. W kilka osób poszliśmy do kolegi z roku – Zbyszka Grusznica...

Następnego dnia już o siódmej rano zadzwoniłem do „Gruchy”. Okazało się że i on był na nogach. Umówiliśmy się pod jego domem na Świętokrzyskiej. Po drugiej stronie ulicy na skwerku, niedaleko Pałacu Kultury, była knajpka o ogólnie przyjętej nazwie „Okraglak”. Jako że pragnienie lekko nam doskwierało, wypiliśmy po małym z pianką. Ponieważ wiedzieliśmy, że spóźnić się na plan zdjęciowy do polskiego filmu jest rzeczą niemożliwą, udaliśmy się wolnym krokiem na przystanek autobusowy. Zdjęcia mieliśmy na Saskiej Kępie tuż obok ambasady RFN (Republiki Federalnej Niemiec). Coś mnie tknęło i zaproponowałem Zbyszkowi, że weźmiemy taksówkę. Zbysio ze zdziwieniem popukał się w czoło i powiedział:

– Czyś ty Kałucki zwariował!? Masz za dużo kasy? Pamiętasz co nam Bardini na zajęciach powiedział: „Sztuka w polskim filmie, polega na sztuce czekania”. Spoko...

Zanim dokończył ów wywód filozoficzny, akurat złapałem taxi i... całe szczęście.

Podjechaliśmy na plan punktualnie o 9.00. Drzwi od taksówki otworzył nam... sam Andrzej Wajda:

– Przepraszam panowie, ale chyba się nie zrozumieliśmy. Ja powiedziałem, że zaczynamy pracę o dziewiątej, a nie że się o niej spotykamy. Myślę iż przy następnej okazji unikniemy takich nieporozumień. A teraz przedziutko dzieci, na plan...

Jesus Christ!!! Jeszcze dzisiaj kiedy to wspomina serce wali mi jak młot! Żeby chociaż nas opieprzył, zrugął! A tu nic. „Przy następnej okazji unikniemy...” Koniec świata! A jakbyśmy jechali autobusem? Wolę nie myśleć. Na szczęście nie potrzebowaliśmy charakteryzacji, a graliśmy w swoich ciuchach więc od razu weszliśmy na plan.



„Bez znieczulenia” – Zbigniew Zapasiewicz i ja

Obserwowałem pana Andrzeja przy pracy i wiele zrozumiałem. Żeby robić dobre filmy, to poza talentem trzeba mieć wspaniale zorganizowaną i profesjonalną ekipę oraz... szanować ludzi! Patrzyłem i przysłuchiwałem się jak Wajda rozmawiał ze statystą, który miał jedynie przeciąć kadr. Facet czuł się jak Robert De Niro! Uwierzył, że ten film jest o jego ramieniu, które tak naprawdę mignęło w obrazku. Później człowiek ten, zrobił to perfekcyjnie za pierwszym ujęciem. Myśmy wypowiadali pojedyncze kwestie – z reguły improwizowane, ale były one... precyzyjnie ustalone! Byliśmy tak zmotywowani przez reżysera, że scena wypadła szalenie naturalnie. W którymś momencie, Marlena Miarczyńska podawała Zapasiewiczowi „jego książkę” do podpisu. Na próbach albo markowała, albo miała jakiś zeszyt. Kiedy na generalnej poprosiła o właściwy rekwizyt, okazało się że został w Wytwórni. Przerażony rekwizytor przepaszając, powiedział że skoczy i za 15 minut będzie z powrotem. Na to Wajda ze stoickim spokojem:

– Jak pan tam pojedzie, to niech już pan tam łaskawie zostanie. Proszę komu inne-

mu przekazać tę książkę. Dziękuję panu za współpracę. Do widzenia.

Kręciliśmy ten film „na setkę”, czyli dźwięk był nagrywany na planie. Większość filmów wymagała wtedy post-synchronów. Polegało to na tym, że po zakończeniu zdjęć, w specjalnym studiu dubbingowym, aktor wcielający się w daną postać nagrywał bądź dogrywał swoje kwestie, celem lepszej jakości dźwięku i zsynchronizowaniem ich z obrazem. Tak na marginesie dodam, że nie było to takie głupie. Z reguły w polskim filmie dialogi są niezrozumiałe i to nie tylko za sprawą marnej dykcji aktorów. Jakość dźwięku często jest tragiczna. Słyszałem nawet takie pomysły zdegowanych widzów wychodzących z seansu, żeby w rodzimych produkcjach wprowadzić napisy. Wtedy każdy pozna dogłębnie treść i będzie wiedział o czym bohaterowie rozmawiają.

W trakcie kręcenia jednej ze scen przeleciał samolot. Po ujęciu Wajda spytał dźwiękowca:

– Bardzo to było słychać?

– Nie. Ale może Pan sprawdzić...

Na to rozbawiony reżyser:

– Oj dzieci, dzieci! Jakbym tak każdego sprawdzał, to robiłbym film w trzy lata a nie w trzy miesiące. Następna scena!

Spytaliśmy kierownika planu o której przewidziany jest koniec zdjęć. Powiedział, że o 15.00. Znajac realia z budki telefonicznej zadzwoniłem do domu, że będę po szóstej. Okazało się że tu były inne realia. Punkt trzecia, zdjęcia się skończyły.

Później w Szkole opowiadaliśmy to wszystko prof. Renie Tomaszewskiej. Uśmiechając się powiedziała:

– Mój Boże. Jakie to wszystko jest banalnie proste... Wystarczy, że każdy robi to, co do niego należy i wykonuje swoją pracę rzetelnie. Może kiedyś doczekacie się tego... myślę, że nawet na pewno.

I miała rację. Dzisiaj z drobnymi wyjątkami już tak się pracuje. Nawet przy telewizyjnych serialach jest podobnie. Jedynie jakość dźwięku się nie zmieniła – czyżby fatum, czy... cholerna tradycja!

Cała ta przygoda była dla mnie wspaniałą lekcją, która później bardzo mi się przydała. Po latach – już jako aktor, spotkałem się z panem Andrzejem na planie „Człowieka z żelaza”. Poznał mnie od razu! Z uśmiechem wspominał moment, kiedy... wysiadałem błądy i przerażony z taksówki.

– Jak spojrzałem na pana to stwierdziłem, że obsztorcowanie w tym wypadku nie jest konieczne. – I po chwili dodał:

– Pięknie wtedy zagraliśmy, bardzo pięknie...

Cudowny, mądry człowiek, reżyser, wizjoner, wielki artysta – Mistrz! ■

Artyści drugiego planu



JERZY SKOCZYLAS

Nie znajdziesz ich zdjęć na plakatach,
na cześć ich nie głośzą peanów,
nie cieszą się zbyt dużym uznaniem
Artyści – ci z drugiego planu.
Nie grają postaci znaczących:
Ofelii, Hamleta, Papkina,
nie na nich kupuje bilety,
publika walcą do kina.
Nie dla nich teatrów proscenia,
aplauzy i nimb awangardy,
ich miejscem odległy kąt sceny,
oparciem ich drąg halabardy.
Nie ściga ich tłum wielbicielak,

ni fani co chcą autografów,
nie na nich poluje z ukrycia
zbiór gapiów i tłum fotografów.
Nie mają pałaców i jachtów
i szybkich jak wiatr samochodów,
nie cieszą pospólstwa ślubami,
nie gorszą skandalem rozwodów.
Nie dla nich riwiery, Madery,
szampany, homary, langusty,
wystarcza im flądra z frytkami
i plaże Darłowa czy Ustki.
Nie grają w intratnych reklamach
za kwoty wprost nie do pojęcia.
Jeżeli już coś reklamują
to tran, lub kapsułki na wzdęcia.
Czasami miewają dni chwały,
gdy szczęście się do nich uśmiecha,
reżyser powierza im kwestię:
– „hrabino, już powóz zajechał”.
I wtedy ich świat się odmienia

i radość rozbłyska na twarzy,
że wreszcie ktoś dostrzegł ich w tłumie,
że wreszcie ich ktoś zauważył.
Lecz potem codzienność powraca
do swego, marnego przebiegu.
Łądują na swych antypodach,
w oddali, w ostatnim szeregu.
I trwają tam sobie cichutko
i wiodą swój byt ułożony,
aktorzy – ci z planu drugiego,
życiowych statystów miliony.
Więc wielki i sławny Gwiazdorze
podziękuj, jeżeli potrafisz,
aktorom, tym z planu drugiego,
tym co się nie pchają na afisz.
I przyjmij konkluzję logiczną,
ten przekaz najprostszy, najszczerzy,
że w życiu bez planu drugiego
nie mógłby zaistnieć ten pierwszy.

Danuta Ławniczak Jesienne spektakli

nie było cię na widowni
a spektakli był doskonały
z tyłu głowy niebieskie motyle
uparte znów nie chciały
wyżej dalej barwniej

w zielonych oczach
pod zieloną powieką
tży zielone uwięzione
pilnowane
bo wypływać miało tylko
słów ułożone brzmienie

słowa - żagle
muzyka - wiatrem
kierunek - wzruszenie
no i popłynęliśmy...

a na drugim brzegu
niebieskie motyle tży zielone
i róże bez kolców - czekały
wciąż niepozobierane w sobie
w zmieszonym szeregu



DANUTA
ŁAWNICZAK

MICHAŁ
STODOLNY

Rymy po polu
moim rozsiane

Wysrane z myśli

JESIEŃ z POEZJĄ

Michał Stodolny Jesienne zmagania

ten liść co spada
ten pies co szczeka
jest pozbawiony wad człowieka
jakby na to nie spojrzeć
pies serce ma gorące
spadający liść zaś kusi
swym rudym horyzontem

w ten słoneczny dzień jesieni
przyroda łśni od liści
i ten wietrzyk wciąż wiejący
nie przyniesie ludzkiej grozy
nawet gdy się w niego wsłuchasz
to usłyszysz pieśń o duchach

nie usłyszysz jej lamentu
od zakrętu do zakrętu
podążamy bez kompleksów
w tej codziennej zawierusze
nie widzimy już
swej duszy

Skok



MAREK ORZECHOWSKI

9 listopada 1989 roku przewrócił się Berliński Mur. Dzielił Berlin i Europę 26 lat. Czas w którym go już nie ma biegnie szybko, lata kiedy stał bardzo się dłużyły.

Kilka dni po tym jak przestał dzielić, byłem w Berlinie – mieszkałem wówczas w Bonn, i dla Głosu Ameryki relacjonowałem triumf ludzi, którzy przestali się bać. Z Murem związane są nieliczne historie śmiałków na własną rękę próbujących go pokonać. Niewielu o nich pamięta, rzadko kto ogląda się za siebie. Ja pamiętam historię tego, który 15 sierpnia 1961, drugiego dnia po wzniesieniu pierwszych zapór, zbiegł do Berlina zachodniego.

To nie była zwykła ucieczka. Uciekinierem był żołnierz NRD-owskiej straży granicznej. Jego twarz i sylwetkę poznał wówczas cały świat, nazwisko tylko niektórzy. Uwieczniony na zdjęciu przez reportera Reutersa, przypadkowego świadka, porzuca karabin i przeskakuje zasięki. Pełnił wartę na rogu Bernauer i Ruppiner Strasse. Miał pilnować aby nikt nie uciekł. I miał rozkaz, aby strzelać. Swego czasu podjąłem próbę skontaktowania się z nim, ale się spóźniłem.



Nazywał się Conrad Schumann i miał 19 lat. Do wojska zgłosił się pięć miesięcy wcześniej ochotniczo, chciał bronić zdobyczy socjalistycznej ojczyzny. Służył na linii granicznej z Berlinem zachodnim. I właśnie stojąc blisko zakazanej strefy poznał świat innych ludzi, wolnych ludzi. Kontrast który przebiegał z tamtej strony przyciągał go, intrygował, ale i osadzał się w nim niepewnością, ciekawością i strachem.

Kulminacja przyszła 13 sierpnia, kiedy był świadkiem betonowego dzielenia miasta i jego mieszkańców. Zrozumiał, że będzie zamknięty, odcięty i stanie się inny, odmienny od tamtych ludzi. Podejmuje decyzję życia i przeskakuje na drugą stronę. Jest w wolnym świecie.

Po wielu tarapatkach i pierwszych rozczarowaniach odnajduje się w końcu w Bawarii, poznaje dziewczynę, zakłada rodzinę. I bardzo tęskni, za domem, matką, kolegami, łąkami i owcami. Zanim poszedł do wojska wypasał je w Turyngii. Jest najbardziej znienawidzonym przez Stasi uciekinierem, władze NRD poprzy-

sięgły mu śmiertelną zemstę, żyje w strachu. Rodzina w NRD przeżywa piekło. Dopiero po 15 latach jego ojciec otrzymuje pozwolenie na krótkie odwiedziny. Stasi liczy, że namówi go do powrotu. Ich spotkanie jest dramatem, ojciec i syn rozchodzą się jako obce sobie osoby.

Schumann angażuje się w akcjach samopomocy dla uciekinierów, jest członkiem niewielkiej Grupy 13 Sierpnia, jeździ po RFN i przypomina o NRD-owskim horrorze. W rewanżu omijają go amnestie, jako jeden z nielicznych wymieniany jest wśród wykluczonych z nazwiska. W 1987 prezydent USA Ronald Reagan odwiedza RFN i Berlin i zaprasza go na trybunę, jest jego gościem honorowym. Przed Bramą Brandenburską Ronald Reagan mówi: „Mister Gorbaczow, niech pan zburzy ten Mur“. Conrad Schumann płacze. Dwa lata później Mur pada, już go nie ma, ale jest jeszcze Stasi. Rok później NRD znika, w życiu Schumanna pojawia się najważniejsze teraz pytanie – jechać czy nie? Wracać czy zostać? W końcu się decyduje.

W małej wiosce z której pochodzi wszyscy pamiętają jego skok przez Mur. Pamiętają i mówią, ale Conrad Schumann nie rozumie, co mówią. A mówią o zdradzie, dezercji, splamionym honorze, i o tym, że nie podadzą mu ręki. Po 30 latach w wiosce dzieciństwa stwierdza z niewyobrażalnym zdziwieniem, że dogoniła go stara NRD, ta z 1961 roku, realna socjalistyczna ojczyzna, która pamięta i nie wybacza.

Do Bawarii powrócił z tej podróży inny Conrad Schumann, stał się nieobecny, popadł w depresję. 20 czerwca 1998, 37 lat po pamiętnym skoku jego żonę Gundę przeszło bardzo złe przecucie. Od kilku godzin męża nie widziała, zaczyna go szukać, i znajduje w przydomowej drewnitni. Wcześniej założył na szyję sznur. I potem, raz jeszcze, ostatni raz w życiu, Conrad Schumann skoczył.

A ja, dwa lata później, kiedy chciałem zrobić o nim reportaż zrozumiałem, dlaczego się spóźniłem.



Żegnaj Joasiu...

Odeszła wielka kompozytorka Joanna Bruzdowicz-Tittel



ANNA FRANÇOIS-KOS

3 listopada 2021 roku – nagle dostałam wiadomość o śmierci Joasi. Niemożliwe! Przecież nie chorowała, przecież miała jeszcze tyle planów! Jeszcze latem rozmawialiśmy o przyszłym koncercie w Brukseli. Mialiśmy też wspólnie napisać jej wspomnienia. Zdążyliśmy tylko przygotować 3-stronicowy plan tych wspomnień...

Tuż przed pandemią spędziłam z nią kilkanaście dni w jej przeuroczej posiadłości w Taillet w Pirenejach. Mialiśmy tyle wspólnych rzeczy... Urodziła się w maju dwa dni wcześniej niż ja z różnicą 10 lat. Często urządzałyśmy wspólne urodziny. Jej mąż zmarł wiosną 4 lata temu, mój jesienią tego samego roku...

Odebrała mnie na lotnisku w Geronie. Jakież byłyśmy szczęśliwe z tego spotkania! Dzień zaczynałyśmy od karmienia kotów (około 30-tu!) i psów. Potem wspólne śniadanie. Przed południem Joasia szła do swojego studia i pracowała. Potem lunch i długie pogaduszki. O czasach spędzanych w Belgii, o licznych wspólnych przyjaźniach, o dzieciach (z których była bardzo dumna!), o wnukach, o projekcie wspomnień..., z przerwą na krótką sjęstę po wypiciu kieliszka bourbona. No i znowu 2-3 godziny pracy, bo Joasia była pracoholiczką! Praca nad nowymi kompozycjami, korespondencja w sprawie koncertów i festiwali. Spacerki po jej ogromnej i przepięknej posiadłości, zbieranie czereśni..., które tego roku tak świetnie obrodziły. Potem wspólne gotowanie kolacji. Była doskonałą kucharką. Do dziś przygotowuję kilka dań „z przepisów Joasi”! Często jadałyśmy kolację przed ekranem telewizora. Chciałam zobaczyć wszystkie filmy, do których pisała muzykę. Potem dyskusje o tych filmach. Cierpliwie odpowiadała na moje naiwne czasami pytania, doksztalała mnie w dziedzinie



muzycznej... No i kolejne karmienie jej ukochanych zwierząt...

Czasami wyjeżdżałyśmy do Ceret. Na zakupy lub po prostu odwiedzić jeden z samochodów na przegląd techniczny. Ja z duszą na ramieniu, bo mimo wieloletniego doświadczenia kierowcy gorzej niż ona (zrobiła prawo jazdy dopiero po 60-tce) dawałam sobie radę po krętych górzystych drogach.

Dzień spędziłyśmy w budynku gminy Taillet, bo akurat we Francji były wybory a Joasia jako radna gminna była w komisji wyborczej. Nie zapomniłyśmy zabrać ze sobą polskich i belgijskich czekoladek, żeby poczęstować nimi pozostałych członków komisji.

Miałam przyjechać do niej na miesiąc, żeby kontynuować pracę nad wspomnieniami. Pandemia pokrzyżowała nam wszystkie plany. A kiedy już zaczęło być normalniej nie udało nam się znaleźć wspólnego wolnego terminu. Ja byłam zajęta a Joasia też miała tyle rzeczy do zrobienia. Wydawało nam się, że mamy przed sobą jeszcze tyle czasu! (No i kłania się ks. Twardowski: „Nie bądź pewny że czas masz bo pewność niepewna”)

Wiosną, 20 marca pisała na Facebooku: „Kochani, po ponad rocznej nieobecności wybieram się do mojej ukochanej Polski. Miała to być podróż związana z premierą mojej rapsodii na dwa flety i orkiestrę symfoniczną wykonaną przez orkiestrę Filharmonii Dolnośląskiej oraz wspaniałych artystów Łukasza Długosza, Agatę Kielar-Długosz i genialnego młodego dyrygenta Łukasza Meygera. Niestety pandemia po raz kolejny pokrzyżowała nam plany. Na szczęście koncert odbędzie się w innym terminie. Tak czy inaczej cieszę się ogromnie, że znów spotkam się z moją ukochaną rodziną, przyjaciółmi, a także odwiedzę miejsca, z którymi wiąże się wiele moich wspomnień.”

Kochała rodzinę, była niezwykle wierną przyjaciółką. Spotkania z Bliskimi były dla Niej tak bardzo ważne...

Będzie mi ich bardzo, bardzo brakowało!!! Żegnaj Joasiu...

ANNA FRANÇOIS-KOS

Pamięć zapisana w sercu

Żegnamy Juliusza Dziakiewicza

Wdzięczność pozwala nam zrozumieć przeszłość, przynosi pokój dzisiaj i kreuje wizję dotyczącą jutra. Zanurzmy się w nurcie historii i wspomnijmy tych, którzy dali nam szansę na życie w pokoju.

Juliusz Dziakiewicz nasz ostatni już Kombatant z regionu Utrechtu odszedł 30 sierpnia na wieczność w wieku 94 lat. Pamięć po nim pozostanie w naszych sercach, a jego obraz i postawa życia pozostanie w naszej pamięci.

Żołnierz II-go Korpusu, syn oficera polskiego, który zginął pod Grodnem. Juliusz w wieku 13 lat, wraz z całą rodziną został deportowany w 1939 roku w grudniu w głąb Rosji na Sybir. Pod koniec grudnia 1940 roku został przewieziony z Syberii do Archangielska (obozu polskich zesłańców) w Północno – zachodniej części Rosji. W 1941 roku II Wojny Światowej (po umowie Sikorski-Stalin) Polacy zostali wypuszczeni z obozów rosyjskich i przeniesieni do Kirgistanu. Tam odbywało się zgrupowanie wszystkich Polaków i tworzyła się Polska Armia pod dowództwem generała Andersa.

W 1942 roku, został przetransportowany przez morze Kaspijskie na Bliski Wschód do Persji (do obozu Polskiego w Pachlewie). Jako 17 letni chłopiec wstąpił do II Kompanii szkoły zawodowej Junaków, gdzie zarazem przeszedł przeszkolenie wojskowe. Po skończeniu szkoły zawodowej jako ochotnik udał się z Armią Polską Andersa do Włoch. W 1944 roku w styczniu złożył przysięgę wojskową i jako polski żołnierz



został przydzielony do V – Dywizji Kresowej – 15 batalion „Wików”.

Z tą Dywizją walczył pod Monte Casino gdzie został ranny. Po wyjściu ze szpitala został przyłączony ponownie do Dywizji, z którą brał udział w dalszych walkach aż do Bolonii. W 1945 roku został przydzielony do 10 Kompanii Saperów. W 1946 roku po zakończeniu II wojny Światowej został przeniesiony do Anglii. Tam też podpisał kontrakt do wojska stałego. (to znaczyło, że podlegał regulaminowi emigracji).

W 1947 roku królowa Wilhelmina wraz z rządem holenderskim zaprosiła polskich żołnierzy przebywających w Anglii do Ho-

landii. W tym samym roku żołnierze polscy osiedlili się już na stałe w Holandii by swoją ciężką pracą przyczynić się do odbudowy kraju zniszczonego na skutek działań wojennych. W Holandii, po krótkim czasie Pan Juliusz założył rodzinę. Udzielał się w różnych organizacjach upamiętniających zasłużonych Polaków na zachodzie. Był również jednym z założycieli S.P.K. – Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Holandii. Aktywnie udzielał się w życiu polskiej parafii w Utrechcie i przykładał wielką wagę do utrzymania w należytym stanie polskiej kwatery na cmentarzu Świętej Barbary w mieście.

Za swoją działalność społeczną i propagowanie polskości na zachodzie, za wkład, trud i rzetelną pracę otrzymał od władz polskich odznaczenie i został udekorowany Krzyżem „Polonia Restytuta” za udział w walkach o niepodległość. W 2007 roku otrzymał od Prezydenta Lecha Kaczyńskiego „Krzyż zesłańców Sybiru”. Ceremonia wręczenia odbyła się w siedzibie Polskiej Ambasady w Hadze. Jego ostatni, honorowy udział miał miejsce w 2018 roku na mszy św. polskiej parafii w Utrechcie z okazji uroczystych obchodów 100-lecia Niepodległości Polski.

Oddajmy Juliuszowi Dziakiewiczowi hołd za jego poświęcenie i patriotyczną działalność na obczyźnie. Niech spoczywa w pokoju.

BARBARA OLSZEWSKA-SAMLER
12 WRZESIEŃ 2021



Przyjaciół poznaje się w lesie



WOJCIECH ZIELIŃSKI

Podczas pandemii COVID wszyscy byliśmy zamknięci w domach, pozbawieni bezpośrednich kontaktów z innymi ludźmi, a osoby unieruchomione przez chorobę stwardnienie rozsiane (SM) odczuły swoje odosobnienie jako „izolację do kwadratu”. Również Ambasador SM – Zofia Schrotten-Czerniejewicz poczuła tęsknotę za przyjaciółmi ze swego lasu bez barier, specjalnie przyleciała z Niderlandów, by zorganizować po rocznej przerwie spotkanie p.n. „Las bez barier – Przyjaciół poznaje się w lesie”

Tegoroczna impreza integracyjna w Nowej Róży z cyklu „Las bez barier” zbiegła się z 30-leciem leśnej osady „hOlendry”



we wsi Nowa Róża koło Nowego Tomysła. W sercu lasu właścicielka wraz z przyjaciółmi, w gospodarstwie byłych osadników olenderskich, stworzyła miejsce

przyjazne ludziom. Zabudowania gospodarcze przekształciła w miejsce spotkań wraz z zapleczem kuchennym, galerią sztuki, salą rehabilitacyjną oraz domki kempingowe i pokoje noclegowe dla dużych i małych grup. To niezwykle miejsce odwiedzają goście młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, harcerze, zuchy i studenci III wieku. W Nowej Róży podczas warsztatów artystycznych można spotkać plastyków, filmowców, fotografików z kraju, z Holandii i innych krajów Europy, również można trafić na zajęcia terapeutyczne i sportowe.

W dniu 26 sierpnia 2021 r. wolontariusze z fundacji „hOlendry” we współpracy ze stałymi uczestnikami spotkań w Nowej Róży zorganizowali kolejne spotkanie integracyjne z cyklu „Las bez barier”, tym razem pod wspaniałym hasłem „Przyjaciół poznaje się w lesie”. Zespół Sygnalistów Myśliwskich PALATIUM zagrał na rogach sygnał „Zbiórka”, którym zapowiedział oficjalną część spotkania. Gospodarze serdecznie przywitani przybyłych gości, każdemu poświęcając kilka ciepłych słów płynących z głębi serca zapowiadając atrakcje czekające na uczestników spotkania. Na spotkanie w leśnej osadzie „hOlendry” w Nowej Róży 2 oprócz niepełnosprawnych na wózkach inwalidzkich przybyli przedstawiciele władz powiatowych i gminnych z Nowego Tomysła oraz Kuślina, prezes KOLD z Lwówka, dyrektor Nowotomyskiego Domu Kultury, przyjaciele Akademickiego Klubu Seniora z Poznania, proboszcz parafii pw. Św. Marcina z Bukowca oraz Nadleśniczy z Nadle-





śnictwa Grodzisk z grupą leśników, którzy już wielokrotnie gościli osoby z SM, na wózkach i bez, organizując różne atrakcje, nawet przejażdżki bryczkami po lesie. W spotkaniu nie mogło zabraknąć wspnianych i pomocnych sąsiadów z Bukowca, Nowej Róży i Wąsowa. Byli przyjaciele z odleglejszych miejscowości takich jak Linie, Kościan i Poznań. Obecna była też grupa Holendrów z Niderlandzkiego Klubu Biznesu, których prezes fundacji „hOlandry” powitała w języku niderlandzkim.

Po oficjalnej części spotkania, która tradycyjnie odbyła się w pozostałościach ruin części mieszkalnej osady olenderskiej, przenieśliśmy się na polanę wokół ogniska. Występ kapeli „Zza Winkla” po pierwszych utworach takich jak: „Zabawa na całego”, „Z babą nie wygrasz”, „Bana do Poznania”, „Na szagę bez Pyrlandię”, „Ćwiartka na głowę, czyli co złego, to nie my!”, wszyscy byli wprowadzeni w doskonały, wesoły nastrój. Piosenki prezentowane przez kapelę przybliżają gwarę poznańską i łatwo wpadają w ucho. Podczas przerwy w koncercie grupa wolontariuszy

grupy rekonstrukcyjnej w mundurach z okresu II wojny światowej urządziła okolicznościową wystawę sprzętu wojkowego z tego okresu, również zorganizowała przejażdżki zabytkowym motocyklem

– oczywiście w przyczepce. Wolontariusze za suto zastawionym stołem szykowali sznytki ze smalcem i skwarkami a do tego kiszony ogórek. Nie zabrakło kiełbasy z grilla, bigosu, sałatek, regionalnych



serów, czyli wszystkiego pod dostatkiem. Niespodzianką była występ zaprzyjaźnionego znakomitego artysty Trubadura Piotra Kuźniaka. Przepięknie zaśpiewał nieśmiertelne przeboje niezapomnianego Czesława Niemena, jak też wiele własnych utworów. Wszyscy artyści wystąpili charytatywnie zgodnie z hasłem „przyjaciół poznaje się w ...”. Nagrodami były gorące BRAWA!

Sprzyjająca pogoda i leśna sceneria malowniczo położonej osady w Nowej Róży oznacza dobre powietrze sprzyjające zdrowiu i wypoczynkowi. Spotkanie upłynęło w miłej i rodzinnej atmosferze. Jesteśmy umówieni za rok.

**PRZYJACIEL Z LASU
WOJCIECH ZIELIŃSKI
STAŁY UCZESTNIK SPOTKAŃ I AUTOR
REPORTAŻY „LAS BEZ BARIER”**

Wojski byłby dumny

MIREK KOZŁOWSKI

Muzycy Zespołu Sygnalistów Palatium z Nadleśnictwa Grodzisk i nowotomysko-opalenickiego zespołu Sounds Good pojawili się niedawno w „jaskini lwa” - na jubileuszowym, XXV Ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Myśliwskiej - Brodnica 2021 wprawiając w twórcze osłupienie nie tylko jurorów, ale i publikę. Muzycy zdobyli mistrzostwo Polski w aż dwóch kategoriach konkursowych.

O twórczym projekcie wielkopolskich leśników i rockowców pisaliśmy już na łamach Sceny Polskiej. Dziś wiemy, że nasze zachwyty nie były ponad miarę, a jeśli komukolwiek wydawało się, że próby połączenia tradycyjnej, historycznej muzyki myśliw-

wego powstał ponad dwa lata temu. Muzycy Zespołu Sygnalistów Myśliwskich „Palatium” Nadleśnictwa Grodzisk i zespołu rockowego Sounds Good spotkali się pierwszy raz na scenie X Pikniku Historycznego Nadleśnictwa Grodzisk w Pałacu w Porażynie. Wykonali brawurowo aranżacje muzyki rozrywkowej, z udziałem gitar, perkusji...i rogów myśliwskich. W założeniach miała być to niespodzianka muzyczna pikniku i jednorazowa inicjatywa. Odbiór społeczny spowodował wówczas, iż muzycy spotkali się po raz kolejny. Tym razem w studiu nagraniowym a pokłosiem twórczej sesji była płyta CD.

Wydaniu płyty sprzyjało ważne wydarzenie, jakim było 100 - lecie działania Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Pozna-



skiej ze współczesnymi brzmieniami muzyki rozrywkowej skazane są na porażkę i srogie połajanie hermetycznych dość środowisk łowieckich - mylił się srodze.

Karkołomny pomysł znanego polskiego muzyka młodego pokolenia, nauczyciela akademickiego Bartosza Kucza, który stworzył niezwykle w swym przekazie i formie aranżacje muzyki myśliwskiej dla Zespołu Sygnalistów Palatium z Nadleśnictwa Grodzisk i nowotomysko-opalenickiego zespołu Sounds Good, przyniósł wymierny sukces ogólnopolski.

Założenie Bartka Kucza i Wojtka Ślicznera z Zespołu Palatium, że muzyka, która na co dzień, kojarzy się z hermetyczną grupą myśliwych i leśników, w nowej aranżacji, może zainteresować zdecydowanie szersze grono odbiorców niż to bywało dotychczas, było ze wszech miar słuszne.

Pomysł stworzenia nietypowego składu muzycznego, sygnalistów i zespołu rocko-

niu. Płyta zawdzięcza zresztą swoje powstanie staraniom wielu osób i instytucji, takich jak: Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Poznaniu i jej dyrektorów, Stowarzyszenie Cooltura Opalenica, Centrum Kultury i Biblioteka w Opalenicy, Nadleśnictwo Grodzisk, i muzyków, którzy w ten projekt włożyli swoje serca i talenty. Promocją płyty miała być seria koncertów, jednak pandemia przerwała na chwilę muzyczne prezentacje. Muzycy nie zarzucili jednak wspólnego grania i pojawili się wspólnie w Brodnicy, podczas Ogólnopolskiego Konkursu Sygnalistów Myśliwskich, który jest wszak kultową a zarazem sztandarową imprezą muzyki myśliwskiej w Polsce od kilkudziesięciu lat wykosili dosłownie konkurencję, wygrywając aż w dwóch konkurencjach. Muzycy z Nowego Tomysła, Opalenicy i Grodziska Wielkopolskiego pokazali, że można i trzeba czasem wpuścić do lasu powiew świeżości i nowości. ■

Adam Mickiewicz

Pan Tadeusz

Księga czwarta, Dyplomatyka i łowy (fragment, „Koncert Wojskiego”)

*Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swoj róg bawoli, długi, cętkowany, kręty
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię,
w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął
w głąb pół brzucha*

*I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał: róg jak wichur wirowatym dechem,
Niesie w puszczy muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, którym
niegdyś w lasach sływał,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historia krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy
jak grzmot: to strzelanie.*

*Tu przerwał, lecz róg trzymał;
wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Zadął znowu; myśliłbyś, że
róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie
rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potem beczenie zębura wiatr rozdarło.
Tu przerwał, lecz róg trzymał;
wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.
Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski*

*szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt;
aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn
uderzył w chmury.
Tu przerwał, lecz róg trzymał;
wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą
jak z choru do choru.*

*I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz ciszsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś
na niebios progu!*

*Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu
Rozkrzyżował; róg opadł, na
pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem
nabrzmiałym, promiennym,
Z oczyma wzniesionymi, stał
jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.*

33. Festiwal Filmu Polskiego w Ameryce

Chicago 6 – 23 listopada 2021

Wydarzenie to od wielu lat jest największym pokazem polskiego kina nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale w ogóle za granicą. Zwycięskie produkcje, zarówno fabularne jak i dokumentalne, otrzymują prestiżowe nagrody „Złotych Zębów Kamery”.

Ideą Festiwalu jest popularyzacja polskiej kultury oraz zapoznanie amerykańskiej publiczności z twórczością filmową polskich twórców. Organizatorzy podkreślają, że prestiżową nagrodę „Złotych Zębów Kamery” w przypadku chicagowskiego festiwalu przyznają nie za najlepszy, ale najbardziej interesujący film. Nagrody te powędrowały zarówno dla najlepszej produkcji fabularnej, jak i dokumentalnej. Przed dwa tygodnie widzowie zobaczyli ponad 50 obrazów. W programie 33. edycji są między innymi

„Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego, tegoroczny polski kandydat do Oscara, „Zabij to i wyjedź z tego miasta”, pełnometrażowa animowana fabuła Mariusza Wilczyńskiego wyróżniona jako najlepszy polski film zeszłego roku czy „25 lat niewinności” Jana Holoubka uznanego za „Odkrycie Roku” w 2020 roku.

Na inauguracji festiwalu widzowie zobaczyli najnowszą komedię Kingi Dębskiej „Zupa Nic”. Reżyserka na premierę zagraniczną tej produkcji przyjechała po Chicago. Po projekcji spotkała się z widzami – „Jak film jest dobry, fajny dla ludzi, a ja robię filmy dla ludzi, to się obroni. Bez względu na to, kto to ogląda. Możemy usiąść w kinie mimo podziałów i razem szczerze się pośmiać” – powiedziała reżyserka Kinga Dębska.



Paweł Wawrzecki, Kinga Dębska i Krzysztof Kamyszew – twórca Polish Film Festival in America i prezes The Society For Arts

W dniu 14 listopada ogłoszono zwycięzców!

- Złote Zęby Kamery zdobył film „ŻEBY NIE BYŁO ŚLADÓW” Jana P. Matuszyńskiego, polski kandydat do Oscara.
 - Specjalną Nagrodę Jury otrzymały [ex-aequo] dwa filmy:
 - „25 LAT NIEWINNOŚCI” w reżyserii Jana Holoubka i „ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA” w reżyserii Mariusza Wilczyńskiego
 - Nagroda Publiczności przypadła filmowi „ZUPA NIC” w reżyserii Kingi Dębskiej.
- Więcej o pozostałych nagrodach: <http://www.pffamerica.com>

FOT. KASIA JAROSZ



Chrzest równikowy



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Jest pierwszy września 2021 roku i świętuję pewną ważną rocznicę. Nie, to nie o tamtym 1 września będzie ten tekst, bo choć wiek mam słuszny, to jednak nie do tego stopnia. Chodzi o wrzesień sprzed równo 50 laty, czyli rok 1971. Dokładnie tego dnia przeżyłem – i jest to określenie jak najbardziej dosłowne w sensie tyleż fizycznym, co metafizycznym – chrzest równikowy na pokładzie statku Polskich Linii Oceanicznych m/s „Jan Matejko”. Byłem wówczas po drugim roku studiów w Szkole Morskiej w Gdyni i odbywałem na tymże „Matejce” swoją praktykę zawodową. Mieliliśmy już za sobą 176 dni rejsu i pomału wracaliśmy do Kraju. Atmosfera na statku była na tyle dobra, że kapitan, czyli „Stary” zgodził się tym razem – było to już szóste w tej podróży przekraczanie równika – na potraktowanie neofitów tą starą morską tradycją. A wyglądało to mniej więcej tak.

Wieczorem dnia poprzedzającego Chrzest, około godziny 19-tej, wśród społeczności nieochrzzczonej panuje nerwowe podniecenie. W korytarzach słychać jakieś dzikie, niby z piekła rodem wycia, pokrzykiwania, wrzaski. Wszystkich neofitów, ubranych w szaty skromne acz schludne (czytaj: kąpielówki), wypędzono na pokład przy czwartej ładowni. Nagle od strony nadbudówki rufowej ukazał się naszym oczom orszak wysłanników Neptuna, wających w kotły, wrzeszczących groźnie i w dodatku oświetlonych pochodniami rzucającymi nieziemskie blaski. Przodem kroczy Tryton, mistrz ceremonii; wysoki, postawny rycerz w pięknej zbroi i hełmie z ogromnym pióropuszem, trzymający krótki miecz i tarczę. Obok niego pirat, ubrany kolorowo, z pomarańczową chustą na głowie, nieodzowną przepaską na jednym oku, butelką rumu u pasa i krzywą szablą w dłoni. Za nimi, wydając straszliwe okrzyki pędzą cztery diabły: postaci od góry do dołu czarne, udekorowane rogami, niemal nagie w kuszach sukienkach, spod których wystawały im z tyłu grube ogony uplecione z lin. Grupie tej wychodzi naprzeciw orszak dowództwa statku: Stary i Starszy Mechanik (Chief) ze sterwardem kapitańskim, niosącym na srebrnej tacy kieliszki z jakimś złocistym trunkiem. Po

krótkim powitaniu Stary odczytuje pismo od Neptuna, wręczone mu przez Trytona, w którym Król Mórz oświadcza, że wraz z małżonką swą Prozerpiną i resztą swego orszaku przybędzie dnia następnego, żeby niewiernych ochrzcić i tym samym ich do grona swych sług przyjąć. Teraz Chief wywołuje kolejne nazwiska neofitów, a diabły ciągną ofiarę przed oblicze Lucyfera, który stempluje każdego pieczęcią Neptuna. Pieczęci tej pod żadnym pozorem nie wolno stracić do momentu chrztu. Jestem opieczętowany dwukrotnie: na piersi i na pośladku, co mimo pewnego dyskomfortu okazuje się wielkim plusem, bowiem pierwsza pieczęć spłynęła bez śladu wraz z tropikalnym potem. Po ostemplowaniu ostatniego neofity capstrzyk się kończy i całe towarzystwo, lekko już wystraszone, rozchodzi się do swych kabin.



Dzień następny wstaje upalny, choć słońce, jak to na równiku, skryte jest za cienką warstwą chmur. Opowiem, co działo się ze mną, choć by dlatego, że nie bardzo miałem okazję śledzić losy innych nieszczęśliwów. O trzynastej zapędzeni zostajemy przez diabły do ogrodzonego linami „kojca”. Pokład parzy w stopy okrutnie, ale udaje nam się sprowokować kogoś z pilnujących nas diabłów; by połał nas wodą z węża przeciwpożarowego. Przy dźwiękach tyfonu (syrena okrętowa) przybywa Jego Ekscelencja Neptun wraz z Małżonką Prozerpiną, dworskim Astrologiem, dwoma lekarzami, dwoma fryzjerami, Trytonem, Piratem i sforą diabłów pod wodzą Lucyfera. Kapitan przekazuje Neptunowi władzę nad statkiem i dostojnicy zasiadają przy stole pod wielkim baldachimem i flagami kodu morskiego formującymi napis „chrzest morski, 1.09.1971”. Król Mórz wygląda zaiste okazale. Ubrany w bandery, z siwymi włosami opadającymi na plecy, z brodą i wąsami o długości i gęstości o imponujących gabarytach. Prozerpina z kolei (dla wtajemniczo-

nych – Irek, asystent radiooficera) wygląda jak uliczna dziwka: długie blond włosy „upiękzone” kokieteryjnie wpiętymi sztucznymi kwiatami, wyzywająco umalowana twarz i potężny biust charakteryzujący tę niezwykłą postać, a dodatkowy ciekawy efekt tworzy wystająca z dekoltu gęstwina czarnych, skręconych włosów. Do tego mini-spódniczka i czarne „kabaretki” zakończone tuż nad kolanem kolorowymi podwiązkami dopełniają efektu. Dosyć, przyznam, komicznego. Cała reszta orszaku ubrana jest niemal równie efektownie, stosownie do przyznanej każdemu funkcji.

Słońce piecze niemiłosiernie, kiedy tak stoimy nękani przez diabły, które na zmianę chlapią w naszą stronę unurzonymi w mazurowanie ogonami i oblewają wodą pod ciśnieniem tak wielkim, że bołą plecy. Czekam na swoją kolej. Akurat powstał jakiś bałagan i mam nadzieję, że go wykorzystam, bo chwilowo zajmowano się neofitami nieco mniej gorliwie. Ale już Tryton zauważył, co się dzieje i szybko zaprowadził porządek zatrzymując na progu „miejsca tortur” akurat mnie, drżącego z napięcia i, co tu dużo gadać, strachu. Wreszcie przyskakują dwa diabły i uderzeniami ogonów wbijają mnie do „rekiny” (to taka brezentowa miękka rura długości ok. 10 m i średnicy niewielkiej, służąca w normalnych warunkach jako zsypaniec w porcie). Ledwo schowałem się w środku, kiedy czuję silny strumień wody wlewany za mną, a po chwili na plecach walenie ogonów pilnujących mnie ciągle diabłów. Instynktownie wyciągam się maksymalnie, poruszając się na brzuchu i starając nie wystawiać żadnej części ciała. Uderzenia ogonów słabną. Nie wiem, czy jestem daleko od wyjścia czy blisko, czy przeczołgałem się dwa metry czy dwa kilometry, czy mam zamknięte, wszędzie jest pełno straszliwie słonej wody, nie mogę oddychać. Nagle czuję, że ktoś na mnie usiadł i całkowicie unieruchomionego okłada z zewnątrz ile wlezie. Dobrze, że leżę płasko, a brezent łagodzi nieco dotkliwość uderzeń. Kiedy siedzącemu na mnie diabłu pozycja się znudziła, ruszam dalej, ciągle walcząc z silnym strumieniem wody z obu kierunków. Nagle słyszę głosy, otwieram oczy i widzę, że jestem po drugiej stronie. Oddycham z ulgą. Ale nie dane mi jest odpocząć. „To dopiero początek!” – przepływa mi przez czaszkę i nagle znajduję się przy stanowisku lekarskim. Diabły pomagają w ułożeniu mnie na stole operacyjnym, na którym prześcieradło skrywa leżące pod nim kawałki żużlu i kątowniki z metalu, sprawiające że to prawdziwe łożo Madejowe. Więc leży mi się mało wygodnie. Na szyję zakładają mi dyby przyciskające głowę do stołu, nogi uruchamia jakiś ciężki łańcuch. Nie mam jednak czasu myśleć o wygodach. Pomocnik lekarza każe mi się uśmiechać, by obejrzeć sobie moje uzębienie. Szanowna Komisja stwierdza braki w higienie ust i pakuje mi do nich jakąś piekielnie pikantną papkę, która pali żywym ogniem. Próbuje to wypluć, ale leżąc z głową

unieruchomioną i spojrzeniem w niebo nie przychodzi mi to łatwo. Następnie okazuje się, że trochę się garbię, więc potrzebne mi prostowanie kręgosłupa. Polega ono na walcowaniu mojego ciała od kolan do brody kwadratowym walkiem. Żeby jednak nie cierpieć za bardzo, zostaję poddany narkozie: młotem zrobionym z kartonu po piwie Sanitariusz wali mnie w czoło, na którym najpierw położył zgniłe, śmierdzące jak skunks, jajo („dojrzewało” kilka dni w kominie, w ciepelku), które zalewa mi twarz swym osobliwym aromatem. Drugie takie samo jajko wsadzono mi w spodenki, więc rozlewa się z podobnym skutkiem podczas „masażu”. W celu przywrócenia zdrowia zalecana jest także lewatywa: zassany do wielkiej strzykawki – smarowalnicy, nieco rozrzedzony ropą mazut zostaje mi wtłoczony pod spodenki. Doktorzy zauważają nagle, że lewatywę stosuje się generalnie z tyłu, a nie jak w tym wypadku z przodu, ponawiają więc zabieg, tym razem z właściwej już strony. Badanie płuc przy pomocy gumowej ssawki, służącej zwykle do odtykania zlewów, a polegające na waleniu mnie nią po całym ciele, powoduje u mnie lęk o dalsze możliwości rozrodcze. Okazuje się nagle, że i nogę mam złamaną, więc należy ją unieruchomić, żeby się dobrze zrosła. Podczas usztywniania nogi kawałem kantówki sporych rozmiarów, zauważam reklamy tego lekarskiego gabinetu: „Bezboleśnie łamiemy kości”, „Leczenie trądu za pomocą prądu”, „Będzie garba prostowanie, dotąd aż ci penis stanie” (nie mam nastroju na analizę marynarskich subtelności poetyckich). Opuszczam „gabinet” ze skierowaniem na leczenie górskim powietrzem, bo ponoć „na płucach zapadam”. Diabły mnie znowu łapią i włoką pod wyciąg z napisem „Kasprowy Wierch – 10 m”, gdzie błyskawicznie zostają opięty wpół pasem i wywindowany na wysokość jakichś trzech metrów nad pokładem. Wiszę więc, oddycham górskim powietrzem i mam okazję się rozejrzeć. Tym bardziej, że w tym samym momencie Neptun zarządził przerwę i zabrał wszystkich na poczęstunek. Wiszę więc nieszczęśliwy, patrząc, jak cała świta popija sobie chłodne wino siedząc w cieniu pod baldachimem, jak tłoczona się ciągle w kojcu, czekająca na swoją kolej resztką neofitów niezbyt szczerze śmieje się ze mnie, do tego sam jestem atrakcją dla wszystkich pozostałych, niebiorących czynnego udziału w tej skądinąd zabawnej ceremonii. A słońce piecze coraz bardziej moje „przebadane” ciało. Nic to, myślę sobie, najgorsze za mną, bo przecież fryzjer (zaprzyjaźniony Stasiek-motorzysta) potraktuje mnie zapewne jak na przyjaciela przystało. Ale fryzjerski „salon” nie wygląda z tej wysokości zachęcająco. Wysoki fotel, którego siedzenie i oparcie na ramiona wyłożone są jakimiś blachami postawionymi na sztorc. Łańcuchy do umocowania rąk i deska z dwoma otworami na nogi, u góry sedes do uruchomienia głowy – strach łapie za gardło. Wszystko to już okrutnie zapaprane

„mydłem do golenia” używanym przez cyrulika nader obficie oraz innymi świństwami, wśród których wyróżnia się czerwona smuga, jak krew niewiniątek. Sami fryzjerzy reprezentują się niemal tak samo; biel ich uniformów jest już tylko dalekim wspomnieniem. Spoglądam w inną stronę i czuję nagły przypływ szczęścia: moja usztywniona noga nie pozwoliła na skierowanie mnie na leczenie „borowiną”, polegające na zanurzeniu delikwenta po szyję w beczce wypełnionej czarną, śmierdzącą mazią wybraną ze statkowych zenz. Po takim zabiegu pacjent nie różni się niczym od mieszkańca samego środka Afryki, na którego azy-mucie właśnie się znajdowaliśmy.

Przerwa się wreszcie skończyła i ściągnięto mnie z „Kasprowego”. Chyba za bardzo się nawdychałem tego świeżego, górskiego powietrza, bo ledwo mogę ustać na nogach. Ale też nie muszę stać zbyt długo, bo nim się spostrzegam jestem posadzony na tym ekskluzywnym fryzjerskim fotelu, elegancko unieruchomiony, z deską klozetową na szyi i gotowy na upiększające mnie zabiegi toaletowe. Pierwszym było golenie. Fryzjer zanurzył wielki, zrobiony z rozplecionej liny, pędzel w jakiejś mazi wykonanej z szarego mydła, sody, mąki i mającej konsystencję rzadkiego ciasta i przygrzmocił mnie tym w głębę w taki sposób, że koniec pędzla zawinął mi się dookoła głowy aż do drugiej jej strony, więc cios był podwójny. Trzy kolejne takie „namydlenia” powodują, iż poczułem, że tracę głowę. Dosłownie. Wreszcie ten sadysta (mój dotychczasowy przyjaciel!) odkłada swe narzędzie zbrodni, ale nie na długo, bowiem publiczności zabawa ta spodobała się tak bardzo, że chcą ją uwiecznić na zdjęciach, więc proszą fryzjera o powtórkę, a on to ochoczo wykonuje. Nie pamiętam, czy uśmiechałem się do tych fotek. Potem pomocnik fryzjera „goli” mnie półtorametrową, drewnianą „brzytwą”, a robi to tak delikatnie, że nabieram pewności, że nie mam już ani uszu i nosa. Manicure i pedicure przy pomocy zielonej i czerwonej farby olejnej, mycie włosów i brody towotem z użyciem odżywki w postaci trocin i pierza, oraz zlikwidowanie bladej cery dorobieniem rumieńców z farby poprawiają mój wygląd na tyle, że mogę stanąć przed królewskim Majestatem. Klękając wpatruję się kornym okiem w oblicza Bóstw i Kapitana. Tryton, macając mnie po żebrach mieczem, oraz Pirat, szturchając mnie po plecach szablą, oznajmniają niespodziewanie, że chudy jakiś jestem, więc trzeba mnie dożywić. Podają mi kanapki na wspaniałym półmisku, więc nie wypada odmawiać. Nie analizuję tego, co jem, ale zapewniam, że było tam wszystko, czego nie lubię: pieprz, ostra papryka, imbir, chili itp. w wersjach przedawkowanych. Takiego piekła w głębie jeszcze nie miałem. A tu jeszcze człowieka szturchają uzbrojeniem muzealnym i komentują, że przefyk mój jakiś wąski, albo może jeszcze jedną kanapeczkę. Usta mam

wciąż pełne tego rarytasu, a tu już Pirat z piekła rodem wręcza mi lampeczkę „wina” do popicia, bo „gorąco dzisiaj, więc pragnienie trzeba ugasić”. Zaciskam więc zęby (w wyobraźni) z mocnym przekonaniem: „nie złamiecie mnie!”, wznosząc toast za zdrowie Neptuna i jego przecudnej Małżonki (wywołuje to delikatny pomruk zadowolenia) i wlewam w siebie całość trunku, wierząc, że po kanapce już nic gorszego spotkać mnie nie może. Jakże się myśle! Sądzę, że w napoju tym nie było zapewne kwasu solnego, ale jego działanie jest z pewnością podobne. Nic to, trzymam się dziarsko, choć staram się w entuzjazmie nie przesadzać, żeby nie zostać poczęstowanym drugim kielichem. Całuję Prozerpinę w jej boską (choć utyłaną już niebosko wszystkimi występującymi w drodze z kojca aż tutaj składnikami) stopę i, wciąż klęcząc, zwracam się w stronę Neptuna. Ten, waląc mnie po ramieniu swym ogromnym trójzębem, wyduje z pomiędzy wąsów dźwięki, z których wylawiam coś o chrzcie, coś o marynarzach i o tym, że jestem pełnoprawnym członkiem świty i że od teraz moje imię to...Antares. I to jest już - dla mnie - koniec.

Nie będę opisywał, jak wyglądałem, bo tego opisać się nie da. Myślę, że wystarczy, jeśli powiem, że myłem się przy pomocy nafty, rozpuszczalnika, proszku do prania „Pralux”, proszku do prania „IXI” (pół paczki), płynu do zmywania „Ludwik” (1/3 butelki), mydła „Ewa” (niemal cała kostka), szamponu do włosów „Ewa” (dużo!) oraz wody (chyba z tysiąc litrów) jakieś dwie godziny i nie sądzę, żebym po tym mógł przejść test z czystości. To już trochę wiadomo, jak wyglądałem.

Wieczorem, w messie, odbyło się uroczyste wręczenie Dyplomów Chrztu (standardowe, dostarczane przez Armatora) wraz z odpowiednim, mniej lub bardziej udanym, wierszykiem charakteryzującym każdego neofitę. Mój brzmiał tak:

Spojrzyć racz Neptunie na tę postać lichą.

Niechaj cię nie zmyli to, że stoi cicho.

To największy krzykacz – tegie dać mu łanie,

Zanim imię morskie ANTARES dostanie.

A potem, już na spokojnie, zrobiłem sobie swój własny Dyplom. A udał się tak dobrze, że zacząłem produkcję seryjną. Oczywiście za odpowiednią ceną (przeważnie była to butelka whisky albo karton Marlboro, bo jako praktykant groszem nie śmierdziałem).

Czy miałem żal o te „tortury”? Mimo mojego dramatycznego opisu nie przybrały one w żadnej chwili charakteru znęcania się i dla młodego chłopaka były jednak – trochę może chwilami uciążliwą i bolesną – ale tylko zabawą. Później wiele razy w swoim życiu przekraczałem na statku równik, ale tylko raz udało mi się przeżyć podobną uroczystość; tylko wtedy to ja chrzciałem, występując w roli Trytona. Zapewniam, że było równie zabawnie. ■

Kolonie

(z cyklu covidowe banialuki)



ALEK SILBER

Pociąg

Zawsze uwielbiałem jeździć pociągiem. To się pewnie zaczęło od dziecka, kiedy właśnie tak się podróżowało na kolonie. Na dworzec odprowadzał mnie zwykle tata. Na peronie dołączałem do swojej grupy i wraz z opiekunem parami wchodziliśmy do wagonu. On wprawdzie próbował nas trzymać pod kontrolą, ale już w korytarzu co szybsi wyrwali się i biegli do przedziału, by zająć miejsca przy oknie. Nie zawsze wybieg ten kończył się powodzeniem, bo więksi lub silniejsi i tak wymuszali „swoje przywileje”.

Zwykle podróż zaczynała się późnym popołudniem, trwała całą noc i dopiero rano dojeżdżaliśmy do celu. Po zajęciu miejsc i ułożeniu na półce walizek, chłopcy skupiali się koło okna, gdzie rodzice jeszcze z peronu rzucali ostatnie porady: „pamiętaj o myciu zębów”, „nie chodź sam do lasu”, „pisz do mamusi”. Ale my już myślimi byliśmy gdzieś indziej i wdychając gęsty dym lokomotywy czekaliśmy na gwizdek konduktora, syk pary i szarpnięcie wagonów. Długi, żelazny wąż mierzwił nabierał prędkości i dopiero kiedy zniknęły zabudowania dworca oraz następujące po nich składy, bocznice i jakieś nieokreślone budy, pociąg nabierał prędkości i w tym momencie zaczynała się nasza wielka przygoda.

Wielu chłopców znało się z poprzednich wyjazdów, był więc i Krasnal i Wiewióra, niezastąpiony Czabogaj oraz tłuszczutki Bociek. Po rocznej przerwie wiele było do powiedzenia, były też wspomnienia, przypomnianie niezwykłych przygód i drak. Kiedy pociąg już pędził przez pola i wymieniono najważniejsze wrażenia, zaczynało się ściemniać i ktoś sięgał po kanapkę. Wtedy, jak na komendę, otwierały się walizki, plecaki i z brązowych, papierowych torebek ukazywały się podróżne delicje. A kiedy pierwszy chłopak z dumą wyciągał kajzerkę z jajkiem na twardo i pomidorem, jaki było zdziwienie, kiedy okazało się, że inni mają to samo. Tylko w napojach była różnorodność: herbata, kompot, oranżada i lemoniada. Natomiast wszystkie butelki były z kapslem. Bez wyjątku. Bardziej doświadczeni szpanowali małymi solniczkami, ale ci należeli do wyjątków, zwykle sól znajdowała się w małym papierku i po paru zamoczeniach pomidora zamieniała się w mokrą, różową grudkę. Oczywiście niko-

mu to nie przeszkadzało, była fajna, jechaliśmy na kolonie i nic nie było w stanie zakłócić naszej radości. Słodczyce, jeśli ktoś takowe posiadał, nie ukazywały się po posiłku. Oznaczałoby to dzielenie się z siedmioma kolegami, a nasza przyjaźń nie sięgała aż takich wyżyn.

Uzupełnione zapasy energii musiały gdzieś znaleźć swoje ujście, toteż zaczynały się przekomarzenia, szturchania, papierowe torebki zmieniały się w twarde kule i w tej formie leciały poprzez przedział. Po czym w akcję wkraczali chłopcy o bardziej łobuzerskich skłonnościach, a tacy zwykle się zdarzali. Otwierali oni okno i tym co pozostało po jedzeniu rzucali w mijane obiekty; w szlaban, w furę na przejeździe, w budkę dróżnika albo i w niego. Jajko, pomidor czy papierowa kula nie stanowiły poważnego zagrożenia, gorzej było z butelkami. Na szczęście nigdy nie trafiali. W czasie takiej akcji często wkraczał do przedziału wychowawca. Padaly groźby odesłania do domu, powiadomienia rodziców i podobne sankcje. Wprawdzie nigdy nie dochodziły one do skutku, ale nastawał spokój, zamykano okno i grupa szycowała się do nocy.

Dla mnie był to ulubiony moment podróży. Walizki ściągaliśmy na podłogę, a sami układaliśmy się na ławkach i półkach na bagaże, po dwóch na każdej, „na waleta”. Zawsze wybierałem górną półkę, wprawdzie była ona węższa i nieco pochyła, ale był z niej lepszy widok. O glorio młodości! Czy komuś przeszkadzało, że półki były wąskie, że drewniane? Czy ktoś narzekał? Czy ktoś to w ogóle zauważał? Wychowawca przechodził wzdłuż przedziałów i po kolei gasił światła pozostawiając jedynie małe, zielone światełko pod sufitem. Jeszcze było trochę rozmów, parę szeptów, ale stopniowo i te cichły. Następowala MOJA chwila!

Tu-du-tu-du, tu-du-tu-du, tu-du-tu-du... stukały koła i tylko czasami przejazd przez most lub tunel mącił równy rytm. Albo gwizd lokomotywy. Albo pociąg pędzący w przeciwnym kierunku. Po czym znowu powracało równe tu-du-tu-du, tu-du-tu-du, tu-du-tu-du. I łagodne kołysanie. I światła za oknem: a to zagubiona latarnia, to światełka w oknach odległych domków albo senny semafor. Potem znowu ciemność, w niej migające cienie traw, krzaków albo zygzaki sąsiednich torów. Od czasu do czasu ukazała się chmurka dymu z lokomotywy, a za nią wór iskier. Powiadają, że noc to czas złodziei i kochanków. A przecież nie tylko. Ciemność to woal intymności i marzeń, wehikuł wyobraźni i poetyckiego rozkojarzenia. Zwłaszcza w pociągu pędzącym przez nocną krainę cienia, bladego księżyca i zagubionych gwiazd na niebie. W takiej chwili nie myślałem o niczym. Patrzyłem. Słuchałem. Cały byłem ukojeniem. Cały byłem chwilą. Moją chwilą. Niestety krótką, bo niedługo zasypiałem, nie dane mi było czerpać z niej pełną garścią, Morfeusz pochłaniał resztę...

Poranki

Poranki były czasem aktywnych zajęć: gry w piłkę, podchody, wycieczki, łowienie ryb, zbieranie malin. W niektórych okolicach leżały jeszcze w lasach niedopalki z czasu wojny. Mieliliśmy często powtarzane, żeby ich nie ruszać, nawet się do nich nie zbliżać. Na szczęście nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków.

Często szliśmy gdzieś na wycieczkę, zwykle szosą, czwórkami i w nogę. Nie pomnę po co i dokąd tak maszerowaliśmy, ale doskonale pamiętam towarzyszące nam piosenki: o szarej piechocie, o szumiących wierzbach, o pani wojence, o ułanach pod okienkiem, ale także i o stokrotce i wędrującym harcerzu. Repertuar marszowy zdawał się nie mieć końca. Piosenki dodawały nam otuchy, śpiewając czas prędko płynął i nie czuło się zmęczenia.

Idąc tak przez wsie napotykaliliśmy różne dziwne zjawiska, na przykład sklepy GS (Gminna Spółdzielnia). Miały one swoisty wygląd, klimat, a przede wszystkim zapach, bo to on pierwszy uderzał wchodzącego: była to mieszanina szarego mydła, proszku do czyszczenia (czegoś) i żelastwa. Widok grabi, kublów, mioteł i sztab mydła nie rozbudzał w dwunastolatkach szczególnych pasji. Błąkaliśmy się więc bezwiednie pomiędzy łopatami i proszkami do prania, ktoś kupił lizaka. Inny zadał jakieś głupie pytanie ku radości kolegów i złości sklepikarza.

Tylko czasem zdarzała się niezwykła okazja, wszyscy rzucali się na ladę i namiętnie kupowali... książki. No może książeczki. Były cieniutkie, drukowane na bardzo kiepskim papierze, z wyblakłą okładką i paru ilustracjami. Często były napisane w języku rosyjskim, którego oczywiście nikt z nas nie znał. Nikt nie zwracał uwagi na tytuł czy treść tych lektur. Można by więc zapytać, na czym polegała ich atrakcyjność. Mówiąc delikatnie były bardzo tanie, za złotówkę można było kupić trzy albo pięć książeczek. Po co nam to było i jaki los spotykał te „okazje”? Większość kończyła w śmieciach.

Może tylko niektóre dotarły do domów jako prezenty, bo mieliśmy silne poczucie, że z kolonii należy coś przywieźć dla rodziców. Poza lakturami przywoziło się bardzo trudny do pakowania i nielegalnie zrywany Oset Górski albo popularne „przetwory”. Uzbierane maliny wkładaliśmy do butelek, zasypywali cukrem, potem korkowaliśmy i stawialiśmy je na oknie w słońcu. Oczywiście po kilku dniach przetwory fermentowały, a butelka wybuchała zalewając najbliższe łóżka. Często też w oknach suszyły się na nitkach grzyby. Niestety i te kończyły w kubie, bo rodzice nie mieli zaufania do naszej nieomyślności w wyborze leśnych łakoci.

Zabawa w podchody zawsze cieszyła się popularnością. Był tu element konkurencji, przygody i radość bycia w lesie z kolegami. Co chwila rozlegał się okrzyk radości, ktoś zauważył kolejną strzałkę. Potem wskazówka na ukryty w zaroślach list. Często schowany był w przemyślny sposób, pod listkiem, w szczelinie drzewa, w dziupli. Wreszcie dochodziliśmy do celu, a wracając do domu dzieliliśmy się wrażeniami, chwaliли lub też krytykowali drugą drużynę.

Jedną z największych atrakcji turnusu kolonijnego było ognisko. Zwykle miało ono miejsce pod koniec pobytu, ale także bywały ogniska dodatkowe na przykład w sąsiedniej kolonii. Do ogniska przygotowane były występy, głównie piosenki i skecze. Nie wiem skąd się brały teksty na skecze, ale było ich mnóstwo. Wychowawca przyjmował rolę reżysera, wybierał „artystów”, teksty, prowadził próby. Reszta siadała wokół „sceny” i miała dobrą zabawę.

Popołudnie

Czas między obiadem a podwieczorkiem, niczym w sanatorium, przeznaczony był na odpoczynek. Jednak nim do niego doszło, znaczna część gromady udawała się zaspokoić zew natury. Na jednej z kolonii było to nad wyraz kłopotliwym wyzwaniem, bo toalety były brudne i śmierdzące. W związku z tym przyjął się zwyczaj „chodzenia w krzaki”. Niestety, i ten wariant nie zdał egzaminu. Po kilku dniach kierownictwo turnusu oznajmiło na apelu wieczornym, że zauważono nagminne rozsiewanie „wianków”, co było absolutnie niedopuszczalne i od teraz zakazane. Nie pamiętam jak ten nakaz egzekwowano i czy poskutkowało. Powróćmy więc do popołudniowego odpoczynku.

Pierwsza godzina, czyli cisza poobiednia, wymagała pozostawiania na swoich łózkach i zachowaniu ciszy, następnie był czas wolny. W tym wieku rzadko kto spał lub czytał, najczęstsze były gry, oczywiście pod warunkiem, że można je było uprawiać na łóżku. Dwie z nich dominowały: ciupy i karty. W ciupy grało się pięcioma kamieniami podrzucanymi do góry w chwytanymi w różnych konfiguracjach. Zwykle każdy miał w kieszeni swój zestaw pieczołowicie dobranych kamyczków.

Z kartami sprawa była bardziej skomplikowana. Często ich używanie było zabronione i przechodzący przez salę wychowawca zabierał talię i zwracał ją na zakończenie turnusu. Jednak dla młodych hazardystów nie stanowiło to problemu. Wyrwaliśmy kartkę w kratkę z brulionu, rozczinaliśmy na małe karteczki i oznaczaliśmy odpowiednimi znakami. Z samą grą jakoś sobie radzieliśmy, gorzej było z tasowaniem kart. Bardziej zawzięty wychowawca i tę „talię” zabierał. Trzeba było wrywać więcej kartek z brulionu.

W czasie wolnym każdy robił, co chciał. Jedni pisali listy do domu, inni grali w piłkę, w zołkę albo nożem w pikuty. Był to też czas na rękodzielniczo. Ci, którzy posiadali szczyryki, a był to pewien wykładnik statusu, strugali. Z kory robiło się łódki i spławiki do wędki. Z młodych gałązek wycinało się najprzeróżniejsze cuda: gwizdki, fujarki, fajki (choć nikt ich nie używał) oraz ozdabiane patyki, często o bardzo strojnych wzorach. Z gęsiich piór także robiło się spławiki. Zresztą robiliśmy całe wędki, potrzebna była żyłka i haczyk, resztę robiło się własnym sumptem, kawałek ołowiu, wspomniany już spławik no i kij.

To właśnie czas wolny stał się przyczynkiem do pewnego ważnego wydarzenia. W naszych gonitwach po terenie ktoś odkrył strych, niby nie osobliwego. Stały tam stare krzesła, wieszaki na



ubrania, drewniane kijki do nart, zakurzone lustro z przewieszonym szalem boa...

Jednak okazało się, że głównym obiektem naszych zainteresowań były... liście, sterta suchych liści. Kto je tam zatargał i po co? Nikt nie wiedział i nikogo to nie interesowało. Dopiero starsi koledzy uświadomili nam niezwykle znaczenie znaleziska. Bo jeśli się przyniosło kawałek gazety i zapalki... Jeśli się w rękę skruszyło liście na miał, jeśli się zawinęło je w gazetę i podpaliło, to był... papieros. Nie był on łatwy w użyciu, gruby, rozpadający się w rękę, zapalony błyskał płomieniem, potem przygaszony dymił powodując ataki kaszlu. Taka jest cena dorastania.

Zdarzało się, że w czasie wolnym rozliczne też były porachunki. Grupa chłopców ma swoją dynamiką i hierarchię. Wszyscy bardzo szybko orientują się, kto jest silniejszy, kto z racji swojej słabości usłużny, a kto się trzyma na uboczu. Raz ustalony porządek pozostaje nie zmieniony chyba, że...

Na jednym ze śniadań Krasnal wyciągając rękę i przechylając się na drugą stronę stołu poprosił siedzącego na przeciwko Kazika, żeby mu nalał do kubka kawę. Kazik spełnił prośbę, ale po napełnieniu kubka lał dalej wylewając gorący płyn na rękę Krasnala. Ten odruchowo, czy też ze złości chlusnął kawą na Kazika. Jedynie dzielący ich stół zapobiegł bójkę. Kazik pociął się ze złości, ale zważywszy na siedzącego niedaleko wychowcę, powiedział, że porachuje się po południu, za budynkiem.

Takie porachunki były rzadkie, toteż cała grupa z niecierpliwością czekała na popołudniowy spektakl. Kazik był jednym z silniejszych chłopców, toteż wszyscy z obawą patrzyli na Krasnala. Były nawet szeptki, że gdyby miał być zбитy na miazgę, to przerwiemy walkę. Nie wiadomo, co myślał Krasnal, z natury był raczej spokojny i musiał się bać silniejszego przeciwnika.

Po ciszy popołudniowej grupa wybiegła za budynek, zrobiło się małe koło z dwoma walczącymi pośrodku. Nie był to boks ani zapasy, coś mieszanego. Krasnal walcząc z pozycji słabszego widocznie czuł, że nie ma nic do stracenia, więc pierwszy ruszył na przeciwnika niezbyt umiejętnie, może niesprawnie, ale z dużym impaktem. Pewny siebie Kazik był tak zaskoczony, że nie potrafił stawić

odpowiedniego oporu i po krótkiej walce zszedł z pola bitwy przegrany. Chłopaki aż zaczęli kłaskać, czego się normalnie nie praktykowało. Było to jednak wydarzenie nadzwyczajne, jeszcze przez wiele dni komentowane z podziwem. Odtąd nastąpiła kompletna zmiana w relacji dwóch chłopców. Mniejszy wzrostem Krasnal górował nad Kazikiem i chociaż był to zaledwie drobiazg w dynamice grupy, to pozostawił swój ślad.

Zielona noc

Nie wiem skąd się wzięła ta tradycja, skąd nazwa i odkąd istnieje. Zielona noc to ostatnia noc turnusu kolonijnego, obozu harcerskiego, ogólnie ostatnia noc. W tę noc wyprawia się różne figle. Najpopularniejsze było smarowanie śpiących pastą do zębów, czasem także do butów. Najbardziej tradycyjną formą była „kocowa” polegająca na tym, że do śpiącego zakradali się po cichu „koledzy”, narzucali mu koc na głowę i bili pytam, paskami, a nawet i pięścią. Najwyższy w hierarchii „nocnych figli” był „rowerek”, nad wyraz wymyślny żart. Otóż śpiącemu wkładano pomiędzy palce u nóg zwinięte w rurkę papierki i podpalało zapalką. Nieszczęśnik próbując przez sen wyrzucić parzące ogniki machał nogami, co przypominało pedałowanie na rowerze.

Temat zielonej nocy pojawiał się już w połowie turnusu, czyli gdzieś dwa tygodnie przed ową magiczną nocą. Już wtedy chłopcy zaplatali pyty. Zrywało się pędy wikliny i płotło niczym warkocze zaczynając od cienkiego końca, a kończąc na grubej rękojeści. Pyta taka liczyła około metra, a uderzenie nią, niczym biczem, było bardzo bolesne. Tak gorliwie przygotowany sprzęt leżał spokojnie pod łózkami i tylko od czasu do czasu chłopcy świstali nim w powietrze albo z impetem waliли w łóżko.

Pytanie było kto kogo będzie bił. Oczywiście ci silniejsi byli od razu wykluczeni, to raczej wokół nich tworzyła się grupka szukająca ofiar. Mogli to być „kapusie”, podlizuchy albo proste niedorajdy. W miarę zbliżania się zielonej nocy rosło napięcie i oczekiwanie jednych oraz strachu innych. Wreszcie nadchodziła wyczekiwana noc i cóż tam się nie działo!

Byłem na wielu koloniach i poza kilkoma pomazanymi pastą do zębów twarzami nic innego nie widziałem. Ale dobrze, że nadal żyją mity i legendy. ■

Marianna Orańska otrzymuje pocztówkę z Mokum, że Bóg żyje w Holandii i o tym się gada...

GRAŻYNA GRAMZA

Przeczytałam niedawno, że nastąpił wzrost poziomu czytelnictwa w Polsce. I podobno jest on najwyższy od 6 lat. Według raportu Biblioteki Narodowej 42% respondentów przeczytało w 2020 roku przynajmniej jedną książkę! Czy dobiliśmy do średniej europejskiej? Trzeba by to sprawdzić. Nie zmienia to jednak faktu, że aż 58 % Polaków nie wzięło żadnej lektury do ręki, a przeciętny Kowalski, wg danych GUS, na lekturę w zeszłym roku wydał trochę ponad 25 zł. Smak czytelników nie uległ wcale zmianie, bo jak donosi Biblioteka Narodowa najbardziej popularne wśród czytającej części Polaków są kryminały. Od dwóch lat pierwsze miejsce w rankingu pisarzy zajmuje ich autor, Remigiusz Mróz. Drugie noblistka, Olga Tokarczuk, a trzecie autor thrillerów i horrorów, Stephen King. Długi czas na topie królowali Henryk Sienkiewicz i Adam Mickiewicz. No, cóż... To już przeszłość, chociaż w pierwszej szóstce popularnych autorów mieszczą się nadal. Jeśli chodzi o Niderlandy (mieszkańcy też czytają średnio jedną książkę rocznie), to w 2020 roku czytelnicy za najlepszych pisarzy uznali: Carry Slee, Jana Terlouw i Saskię Noort. Jednak najczęściej kupowali książki Lucindy Riley („Siostra Słońca”) i Rudgera Bergmana („Homo Sapiens. Ludzie są lepsi niż myślisz”). Taki wybór Holendrów nie zaskakuje. Również, podobnie jak nasi rodacy, wolą lżejsze gatunki literatury.

Ja jednak na długie zimowe wieczory chciałabym zaproponować coś innego niż kryminały.

Pierwsza książka to „Pocztówka z Mokum. 21 opowieści o Holandii”, która pozwoli popatrzeć na kulturę tego kraju innym okiem. Autor, Piotr Oczko to erudyta i pisarz, który ma zacięcie reporterskie, a po Amsterdamie, czyli Mokum, oprowadza nas jak po własnym mieście. Pokazuje obrazy z ukrytym przesłaniem. Zabiera czytelnika do przybytków modlitwy i rozkoszy zwracając uwagę na elementy, na które do tej pory nie przyszło nam do głowy spojrzeć. Razem z nim poznajemy dawnych mieszkańców miasta i przyglądamy się tym współczesnym. W książce nie brakuje ilustracji, co czyni ją jeszcze bardziej atrakcyjną i ciekawą. Poza tym

pozwala ona odnieść się do współczesnych polskich bolączek tj. nacjonalizm, antysemityzm czy homofobia. To trudne tematy, nad którymi warto się zastanowić przy okazji lektury. „Pocztówka z Mokum” to kolejna książka o Holandii tego autora. Jego fantastyczna „Miotła i krzyż” ukazała się nie tylko w Polsce ale też tutaj w tłumaczeniu Paula Hulsenbooma rok temu, o czym informowaliśmy na łamach „Sceny Polskiej”.

Drugą książką, która ukazała się jesienią, a warta jest poznania, to wywiad-rzeka który z holenderskim prymasem, Willemem J. Eijkem, przeprowadził włoski dziennikarz Andrea Galli. Książkę zatytułowaną „Bóg żyje w Holandii” w tłumaczeniu Agnieszki Zielińskiej wydało wydawnictwo „Esprit”. Willem J. Eijk jest arcybiskupem Utrechtu i jedynym niderlandzkim kardynałem, który był brany pod uwagę w wyborach papieskich. Jest też postacią mocno kontrowersyjną we własnym kraju, ponieważ jest twardym obrońcą katolickiego nauczania moralnego, co oznacza przeciwnika aborcji oraz eutanazji. Nie jest w tej materii na pewno ignorantem, bo zanim został księdzem, ukończył studia medyczne. Biskup Eijk był też naocznym świadkiem wydarzeń w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy to niemal doszło do całkowitego upadku Kościoła katolickiego w Ho-

landii. O tym i o stopniowym odradzaniu się wiary katolickiej w jego kraju barwnie opowiada dziennikarzowi „Avvenire”. Wskazuje na fakty i wydarzenia, o których niewiele osób wie. Uważny czytelnik znajdzie wiele analogii do współczesnej sytuacji polskiego Kościoła, który niewątpliwie zaczyna tracić wiernych i niedługo będzie musiał się zmierzyć z sekularyzacją państwa. Książka ta rozwiewa również niektóre stereotypy na temat niderlandzkiego społeczeństwa, jakie od lat pokutują w Polsce. Dla osób wierzących Willem J. Eijk jest prawdziwym świadkiem Chrystusa. Dla innych, nietuzinkową postacią wpływającą na współczesny obraz Holandii, którego poglądy warto poznać. Polecam!

Inną pozycją, która mnie zaciękała jest „Gadka. W sześćdziesiąt języków dookoła Europy”. To przewodnik Gastona Dorrena, poligloty i autora słynnej „Babel”, który zabiera nas w niezwykłą podróż w mało znane zakamarki języków i krajów. Każdy rozdział może być dla czytelnika odkryciem.

Na przykład dowiadujemy się dlaczego językiem francuskim rządzi obsesja na punkcie matki, a hiszpański brzmi jak pistolet maszynowy? Autor zastanawia się, czemu filiżanka kawy w języku niderlandzkim sprawia nam problem, bo jak to ujął pewien Amerykanin: „to je-



den z wielu języków, który brzmi jakby rzeczom wyrosły genitalia” i nawet filiżanka ma „gender” (rodzaj). „Kop kofie jest rodzaju męskiego, mała kopje kofie rodzaju nijakiego, a natomiast belgijska – tas kofie rodzaju żeńskiego.” I bądź tu człowieku mądry! By poznać więcej takich dylematów warto sięgnąć po filiżankę kawy i przeczytać „Gadkę”. Autor uczy się polskiego, więc i o naszym języku dowiemy się czegoś interesującego. I jeszcze... Gaston Dorren dorastał w Holandii, więc możemy potraktować go jak swojaka.

Na koniec chciałabym wspomnieć o powieści, która ukazała się we wrześniu. To „Trzecia miłość Marianny Orańskiej” autorstwa Gabrieli Anny Kańtor. Niestety nie przeczytałam jej jeszcze, a z tego co widzę nie ma zbyt dobrych ocen w Internecie. Znam jednak inne książki tej pisarki, które są godne poznania, więc i tak po nią sięgnę. Gabriela A. Kańtor jest Ślązatką, a z wykształcenia pedagogiem i psychologiem. Jednak zawsze chciała pisać. Zainteresowanie regionem, z którego pochodzi, znalazło odzwierciedlenie w jej twórczości i tak powstała na przykład „Ławeczka księżnej Daisy” czy „Koronki z płatków śniegu”. Książka o niderlandzkiej królownie (Marianna to córka Wilhelma I) też jest pośrednio o Śląsku, bo Marianna była tam właścicielką dóbr, do których rozwoju walczyła się przyczyniła. Tematem powieści jest jednak romantyczna przygoda Marianny z jej dworzaniec Johannesem van Rossum, która doprowadziła do skandalu na skalę europejską. Niestety nic więcej o tej historii nie wiem, bo czekam na przesłankę. Wcześniej w Polsce ukazały się inne książki poświęcone tej postaci. Jedną z nich, to „Miłość i dramaty królowy Marianny” Krzysztofa Mazurskiego oraz „Marianna Orańska 1810-1883” Marka Gaworskiego. Na podstawie tej pierwszej nakręcono dokument, a sama książka może służyć jako przewodnik po Ziemi Kłódzkiej. Warto przeczytać którąkolwiek, bo i losy Marianny, i opis tamtych czasów są niezwykle plastyczne.

Wracając do początku mojego tekstu, to jeśli ktoś jest zainteresowany bardziej szczegółowo czytelnictwem w Polsce, to może zajrzeć na stronę „Co.Przeczytać.pl”: <https://www.coprzeczytac.pl/poziom-czytelnictwa-w-polsce-najlepszy-od-6-lat-raport-biblioteki-narodowej>.

O najbardziej popularnych książkach w Holandii informuje m.in. strona CPNB: <https://www.cpnb.nl/nieuws/cpnb-top-100-boekenmarktjiffers-2020>.

A my czytamy niezależnie od wszystkiego, bo jak twierdził Piliniusz Młodszy: „Nie ma tak złej książki, żeby w jakimś stopniu nie przyniosła korzyści.”

Samen.pl ciąg dalszy..



MONIKA STĘPIEŃ

Już niedługo będziemy mogli śledzić dalsze losy bohaterów serialu Samen.pl. Jadzia, jej rodzice i kolorowy współlokator zaskarбили sobie sympatię widzów nie tylko w Holandii!

– To dla nas zaskakujące jak wiele pozytywnych reakcji otrzymaliśmy od społeczności polonijnych z różnych zakątków świata. Bardzo chętnie obserwują jak z różnicami kulturowymi radzą sobie Polacy w Holandii. Wielu podobnych sytuacji sami doświadczyli nawet mieszkając za oceanem! Budując nasz projekt obstawialiśmy również, że będzie nam ciężko dotrzeć do holenderskiej publiczności. Okazało się jednak, że Holendrzy lubią się z siebie śmiać i również dopytują kiedy pokażemy kolejne odcinki.

Już w połowie listopada na platformie YouTube (Samen.pl) ukaże się pierwszy

epizod serialu. Kolejne (4) będą pokazywane co około dwa tygodnie. Kończymy na świątecznym odcinku. Następne trzy pokażemy na wiosnę. Podczas castingu, które odbyły się na przełomie lipca i sierpnia 2021, wybrani zostali najcenniejsi kandydaci, zatem rodzina Samen.pl liczy sobie już 50 osób (35 aktorów i 15 członków ekipy). Od początku września, zdjęcia do serialu idą pełną parą i bywa, że na planie jest aż 30 osób jednocześnie!

Ten projekt to niebywałe doświadczenie w pracy z ludźmi. Weźmy pod uwagę, że każdy ma swoje przyzwyczajenia, sposób bycia i własną strefę komfortu. Do tego na planie mamy jednocześnie wiele różnych narodowości. Na każdego działa coś innego. Jednego trzeba pogłaskać, na innego huknąć. Samen.pl to kombinacja profesjonalistów i amatorów. Są osoby, które robią to od lat, a są i tacy, dla których ten projekt to pierwszy wyczyn przed kamerą (np filmowa Grażynka). I czasem te naturalne talenty radzą sobie dużo lepiej od „starych wyjadaczy”...

W całym sezonie na pewno dobrze przyjrzymy się głównej bohaterce, Jadzi i jej rodzicom. Ci, z początku nieufni, powoli zakochują się w Holandii. Podsumowując: niezręcznych sytuacji, językowych wpadek i kulturowych zderzeń ciąg dalszy nastąpi...



Patroni Roku



GRAŻYNA GRAMZA

W dniu 14 października Sejm RP wybrał patronów 2022 roku. Będą nimi aż trzy kobiety: Maria Konopnicka, Wanda Rutkiewicz oraz Maria Grzegorzewska. Męskim patronem następnego roku został Józef Wybicki, który jest autorem „Pieśni Legionów Polskich we Włoszech”. W 2022 roku minie dokładnie 200 lat od jego śmierci, 275 lat od urodzin i 225 lat od powstania hymnu. Mamy więc trzy okrągłe rocznice.

Józef Rufin Wybicki (1747-1822)

Na temat Wybickiego napisano już sporo, a jego dworek na Kaszubach w Będominie, który stał się Muzeum Hymnu Polskiego, przechowuje pamiątki i wspomnienia po pisarzu. Dla nas to spiszowa postać z podręcznika do historii, ale Wybicki pisał też tragedie („Zygmunt August”, „Gustaw Waza”), komedie (m.in. „Kulig”, „Mędrzec”), a nawet opery. Nas, mieszkających w Królestwie



Portret w zbiorach Muzeum Hymnu Narodowego w Będominie

Niderlandów, może zainteresować „Pasterka zbłąkana, czyli obraz wojny holenderskiej”. Jest to utwór, osnuty na tle historycznym, niestety tak ogólnikowo przedstawionym, że nie można oznaczyć czasu akcji. Jest też słaby literacko, ale jako jeden z niewielu poruszający tematykę holenderską, więc warty wspomnienia. Cennym źródłem do biografii Józefa Wybickiego oraz ogólnie historii Polski są jego pamiętniki, które zaczął pisać na początku XIX wieku, kiedy przebywał we Wrocławiu i Dreźnie. Wybicki był z wykształcenia prawnikiem, uczestniczył w konfederacji barskiej, był w Legionach Dąbrowskiego. Wcześniej pełnił funkcję szambelan Stanisława Augusta Poniatowskiego. Przyczynił się do powstania Księstwa Warszawskiego w 1807 roku, a podczas wojny polsko-austriackiej w 1809 organizował obronę Wielkopolski przed wojskami nieprzyjaciela. Po kongresie wiedeńskim współtworzył Królestwo Polskie. Miał udane życie rodzinne, chociaż pierwsze małżeństwo z Kunegundą Drwęską zakończyło się tragedią. Żona zmarła będąc w ciąży. Drugą żoną Wybickiego była Estera Wierusz-Kowalska, która urodziła mu dwóch synów i córkę. Po ślubie Wybicki nie chciał wracać do Będomina. Osiadł w Wielkopolsce, gdzie prowadził spokojne życie dalekie od polityki. Zmarł 10 marca 1822 roku w Manieczkach.

Maria Konopnicka (1842-1910)

Maria Konopnicka, której 180. rocznica urodzin przypada również na rok 2022, to znana wszystkim autorka książek dla dzieci i patriotycznej „Roty”. Jednak nie tylko. Działiała społecznie i jak zwrócono uwagę „Za pomocą utworów literackich protestowała przeciwko antypolskiej polityce zaborców i niesprawiedliwości społecznej. Współorganizowała protest światowej opinii publicznej przeciwko niemieckim represjom wobec dzieci polskich we Wrześni w latach 1901-1902 i ustawom wywłaszczeniowym. Walczyła o prawa kobiet oraz pomagała uwięzionym z przyczyn politycznych przez rosyjskie władze”. Maria Konopnicka debiutowała w czasopiśmie „Kaliszanin” w 1870 roku. W 1881 roku wydała pierwszy tomik poezji. Redagowała pismo „Świt”, współpracowała z tygodnikiem „Bluszcz” i pisała nowele. Była honorową członkinią Towarzystwa Szkoły Ludowej. Robiła tłumaczenia



Fotografia wykonana w Grazu (zbiory Biblioteki Narodowej)

i pisała świetne reportaże. Na przykład podczas pobytu we Francji w 1900 roku wysyłała do warszawskiej prasy „obrazki” z Normandii, pisane co prawda dla chleba, ale bardzo rzetelne. Teksty te przepełnione są ciekawością wobec nowych ludzi i zjawisk, a czyta się je nadal z dużym zainteresowaniem. Życie prywatne Konopnickiej to scenariusz na film sensacyjny i romans wszechczasów. Urodziła ośmioro dzieci, których ojcem był jej mąż Jarosław Konopnicki. Jednak opuściła go i zamieszkała w Warszawie. Kiedy dzieci wyrosły pisarka spędzała czas na podróżach. Pomieszkiwała w Wenecji, Zakopanem, Monachium i w Krakowie. Ludwik Krzywicki, prekursor polskiej socjologii, nazywał Konopnicką z tamtego okresu „niewiastą mocno kochliwą”. Jeden z jej adoratorów z powodu niespełnionej miłości popełnił samobójstwo. Jednak jej partnerką życiową została w końcu malarka, Maria Dulębianka, z którą pisarka zamieszkała w Żarnowcu. Dworek w tej miejscowości Konopnicka otrzymała w darze od narodu na 25-lecie swojej pracy twórczej. W jej życiu sporo było wydarzeń, które przypowiadają o zawrót głowy (np. próba zabicia jej przez własną córkę czy wspomniana śmierć Maksymiliana Gumplowicza) i kiedy patrzymy na portret nobliwej damy w kapeluszu lub binoklach, to trudno nam uwierzyć, że to kobieta, która łamała społeczne tabu już ponad sto lat temu i żyła tak, jak chciała.

Maria Grzegorzewska (1887-1967)

W roku 2022 minie 100 lat od utworzenia Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej, obecnie Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej



Z J. Korczakiem (Muzeum Marii Grzegorzewskiej i Akademii Pedagogiki Specjalnej)

w Warszawie. Sejm uznał to za dobrą okazję do przypomnienia zasług założycielki tej instytucji, której mottem było: „Nie ma kaleki – jest człowiek”. Maria Stefania Grzegorzewska (z domu Bogdanowicz) to pedagog, psycholog, twórczyni pedagogiki specjalnej w Polsce. Uczyla się w Warszawie oraz za granicą. Wstąpiła na Międzynarodowy Fakultet Pedagogiczny w Brukseli (1913), gdzie zaprzyjaźniła się z Józefą Joteyko, Édouardem Claparèdem i Ovidem Decrolym. Wpłynęło to bardzo na jej poglądy pedagogiczne. W 1914 kiedy była w Warszawie, wybuchła wojna. Uniemożliwiło jej to powrót do Brukseli, ale przedostała się do Londynu i tam kontynuowała naukę. Następnie studiowała psychologię na Sorbonie, gdzie w 1916 uzyskała tytuł doktora filozofii za rozprawę „Studium na temat rozwoju uczuć estetycznych – badania z zakresu estetyki eksperymentalnej przeprowadzone wśród uczniów szkół brukselskich.” Po doktoracie zdecydowała się na pracę z osobami niepełnosprawnymi i została nauczycielką w jednej z paryskich szkół dzieci opóźnionych w rozwoju. Jednak kiedy Polska odzyskała niepodległość wróciła do kraju, gdzie pracowała w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zajmując się sprawami szkolnictwa specjalnego. Popularyzowała i zakładała takie szkoły, a także powołała

kurs seminaryjny dla nauczycieli, którzy mieli pracować z dziećmi specjalnej troski. W 1930 otworzyła Państwowy Instytut Nauczycielski i prowadziła go do 1935 roku wraz z Władysławem Radwanem. W kadrze nauczycielskiej Instytutu znalazł się m.in. Janusz Korczak. W czasie II wojny światowej brała udział w tajnej działalności oświatowej Delegatury Rządu Londyńskiego, pracując nad kształceniem przyszłych nauczycieli. Po wojnie kierowała Instytutem Pedagogiki Specjalnej. W latach 1958–1960 była profesorem w Katedrze Pedagogiki Specjalnej UW, pierwszej takiej katedrze w Polsce. Niestety choroba serca zmusiła ją do mniejszej aktywności. Zmarła 7 maja 1967 roku. Jej „Listy do młodego nauczyciela”, to lektura obowiązkowa każdego pedagoga. Grzegorzewska swoje życie poświęciła dzieciom i nauczaniu przyszłych nauczycieli. Mimo, że żyła później, to wpisywała się w nurt pracy pozytywistycznej.

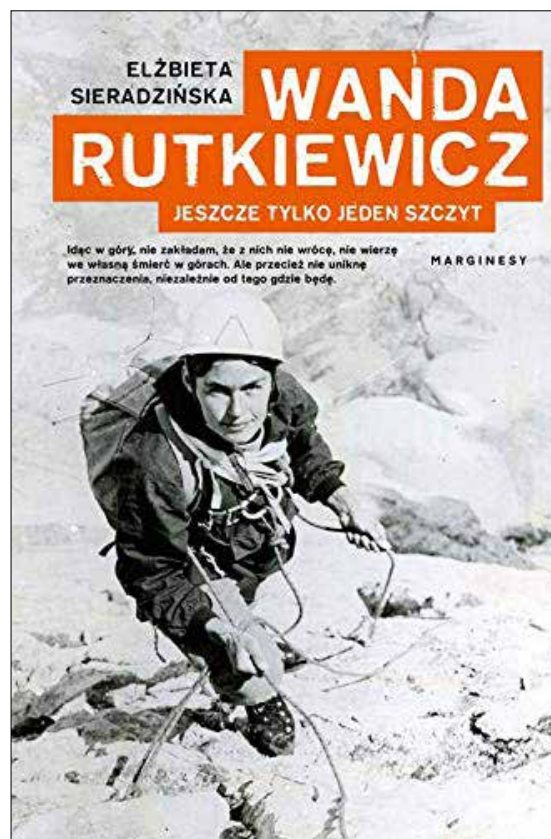
Wanda Rutkiewicz (1943-1992)

Ostatnią uhonorowaną przez Sejm RP postacią jest Wanda Rutkiewicz. W 2022 roku upłynie 30. rocznica śmierci polskiej alpinistki i jednej z najwybitniejszych światowych himalaistek. Jako pierwsza Europejka stanęła na Mount Evereście, najwyższym szczycie Ziemi. 23 czerwca 1986 Wanda Rutkiewicz zdobyła K2 jako pierwsza kobieta na świecie. Zaraz po wojnie razem z rodziną Wanda Błaszkiwicz znalazła się we Wrocławiu,

gdzie się uczyła i skończyła politechnikę. Z dyplomem inżyniera-elektronika pracowała w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych. Później przeniosła się do Warszawy, gdzie podjęła pracę w Instytucie Maszyn Matematycznych. Jeszcze w czasach licealnych zapowiadała się na świetną siatkarkę, grała w I lidze i nawet kandydowała do gry w reprezentacji Polski. W 1962 roku ukończyła kurs taternicki na Hali Gąsienicowej. Była członkinią i uczestniczką wypraw jaskiniowych wrocławskiej Sekcji Grotołazów. Po Tatrach były Alpy, Pamir, Hindukusz i Himalaje. Należała do Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu, a potem w Warszawie. O swoich wyprawach i płynących stąd przemyśleniach często pisała w czasopiśmie o tematyce alpinistycznej. Była zdecydowaną rzeczniczką i realizatorką wspinaczkowej samodzielnosci kobiet. Wanda Rutkiewicz napisała kilka książek o tematyce górskiej. M.in. „Gdybyś przyszedł pod tę ścianę”, „Na jednej linii”, „Karawana do marzeń”. Wanda Rutkiewicz dwukrotnie wychodziła za mąż. Jej pierwszym mężem był taternik, Wojciech Rutkiewicz, a drugim lekarz i alpinista, Helmut Scharfetter. Zaginęła 13 maja 1992 na stokach Kanczendzongi w Himalajach. Ją samą i jej osiągnięcia upamiętniano na różne sposoby (kartka pocztowa, monodram „Wanda”, mural we Wrocławiu). Pośmiertnie w 1994, jako jedna z trzech pierwszych osób, została odznaczona

Medalem im. Króla Alberta I, przyznawanym za wyjątkowe zasługi górskie przez „King Albert Memorial Foundation”. W 2018 roku w ramach „Polskiej Wiosny Filmowej”, zorganizowanej przez „Scenę Polską”, mogliśmy oglądać spektakl „Wasza wysokość” inspirowany życiem Wandy Rutkiewicz. Został on nagrodzony rok wcześniej „Gold Remi” na międzynarodowym festiwalu „World Fest Houston”. I słusznie, bo obraz jest niezwykle przejmujący.

W 2022 roku możemy się spodziewać wielu okolicznościowych wydarzeń i innych przedsięwzięć promujących twórczość i biografię tych nietuzinkowych postaci. Ja szczególnie się cieszę, że dominują kobiety. W mijającym roku w gronie wyróżnionych nie było żadnej. A szkoda, bo na pewno można było kilka pań przypomnieć i docenić! ■



Listopadowe wspomnienia i refleksje

Nekropolie we Francji



**MAGDALENA
PIGNARD-BYKOWSKA**

W dniu Wszystkich Świętych zapach chryzantem i palących się zniczy na ukwieconych grobach towarzyszą wspomnieniom o grobach w rodzinnym kraju.

Rozsiani po świecie, jesteśmy często Na obcej ziemi, co widnieje w tytule dwujęzycznego polsko francuskiego albumu autorstwa Hanny Zaworonko-Olejniczak, Barbary Kłossowicz i Andrzeja Biernata, który pozwala odkryć piękno paryskich cmentarzy, inspirowane do zadumy nad losami Rodaków którzy pracowali i umierali ku chwale Francji i dla wolności Polski.

Czytelnicy albumu odkrywają nie tylko zdjęcia 680 nagrobków znanych postaci pochowanych w Paryżu i w podparyskiej miejscowości Montmorency ale też skromne płyty i groby zbiorowe, świadczące o bardzo trudnych warunkach życia Polaków we Francji podobnie jak Cyprian Norwid (1821-1883), który zmarł w samotności w Paryżu u sióstr św. Kazimierza i pierwotnie został pochowany na cmentarzu w Ivry-sur Seine i ostatecznie spoczął na cmentarzu w Montmorency w grobie zbiorowym.

Ikonografia i teksty inskrypcji nagrobnych są odbiciem nastroju i refleksji, jakie ogarniały znajdujących się na emigracji. Przemawiały

do uczuć i serc, ukazując symbole narodowe, cytaty romantycznych poetów, niezwykle sugestywne dla ówczesnych motto i przesłania. Wielkie bogactwo form stało się przekazem losów polskich emigrantów.

Francuska gościnna ziemia przyjęła u siebie groby królewskie i książęce, mogiły oficerów i prostych żołnierzy polskich powstań oraz światowych wojen. W tej ziemi spoczywają również prochy artystów i inżynierów, lekarzy i poetów, nauczycieli i uczonych, którzy pracowali i umierali ku chwale Francji i dla wolności Polski.

Mimo bezcennej pomocy historyków z Polski, którzy począwszy od 1980 roku rejestrują i opisują polskie groby, wiele pomników czeka na konserwację i pamięć.

Ciągłe zbieranie biografii Polaków zmarłych we Francji staje się warunkiem pogłębiania wiedzy w dziedzinie poznania oraz zachowania polskiego dziedzictwa poza granicami Polski.

Warto wspomnieć, że inwentaryzacja prowadzona we Francji przez polskich historyków od 1984 roku pozwoliła zamieścić na stronie internetowej Towarzystwa Opieki nad Polskimi Pamiątkami i Grobami Historycznymi we Francji (www.tombeauxpolonais.eu) ponad 2000 polskich nagrobków.

Towarzystwo ma swoją siedzibę w budynku Biblioteki Polskiej w Paryżu.

**SOCIÉTÉ POUR LA PROTECTION DES SOUVENIRS ET TOMBEAUX HISTORIQUES POLONAIS EN FRANCE,
6 Quai d'Orléans, 75004 Paris, France**

Bieżącymi sprawami Towarzystwa kieruje Rada wybierana co trzy lata. Pod szczegól-



ną opieką Towarzystwa Opieki nad Polskimi Pamiątkami i Grobami Historycznymi we Francji jest grób Szopena na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu miejsce odwiedzane przez Polaków, Francuzów i oczywiście turystów z całego świata.

Wraz z Towarzystwem Opieki nad Polskimi Pamiątkami i Grobami Historycznymi we Francji dba o pamięć Polaków i oprowadza po cmentarzu Père-Lachaise grupy młodzieży i dorosłych z Polski i z Francji. Przed świętym Wszystkich świętych, poznawanie historii i dbanie o groby polskie z dziećmi ze Szkoły Polskiej przy Ambasadzie RP, im. A. Mickiewicza i przy parafii św. Genowefy w Paryżu.

Wielkim, niespełnionym marzeniem emigrantów był powrót do kraju w rodzinne strony. Wśród nielicznych zaplanowany powrót do kraju został zrealizowany. ■



33. polish film festival in america



PEJZAŻ Z TRZEMA RACAMI

Chicago, November 6 - 23, 2021
become the 33. PFFA sponsor!

